

gazet owmka

Nr 7(15)/2012

ISSN 2084-6932



GAZETOWNIA

Wydawca

PIstacja Media Katarzyna Bogucka
biuro@pistacjatv.com
www.pistacjatv.com

Biuro reklamy

Tamara Kuświk
marketing@pistacjamedia.com

Zespół Redakcyjny

Katarzyna Bogucka
Joanna Dudek- Ławecka
Jolanta Wroczyńska

Foto

Wojciech Bober
Katarzyna Bogucka
Tomasz Ferenc
Waldemar Ławecki
Artur Radzko
Joanna Wroczyńska

Ilustracje

Aleksander Bogucki (pingwin)
Paweł Siwochowicz (wiedźma)

Opracowanie graficzne i skład

Agnieszka Maślanka

Współpraca techniczna

Agnieszka Betkier

Wydawnictwo zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w piśmie Gazetownia bez zgody Wydawcy jest zabronione na podstawie art. 25 ust.1 pkt 1b prawa autorskiego.

Copyright PIstacja Media 2012

004. OD REDAKTORA Jolanta Wroczyńska

005. SKRZYNKA

006. DROGOWSKAZY *Mapy i biografie,
czyli o kartografii życia* Tomasz Ferenc

012. BEZKRESY *Chorwackie żeglowanie
z Marco Polo* Joanna Dudek-Ławecka

016. NA PAPIERZE *Anielskie wakacje*
Kasia Bartsch-Cielebon

020-025. OD CZAPY

Sarna czy baran, co wybierasz? Tamara Kuświk
Najdłuższe wakacje życia Karolina Dyja

026. *Kuba, Moja podróż w czasie*
Wojciech Bober

036. PIRUETY WOKÓŁ SŁOŃCA
Joanna Wroczyńska

038. POWIEŚĆ W ODCINKACH cz IX
Wiedźma Kasia Bartsch-Cielebon

043. ŻAK *Zagubienie* Paweł Radzko

044. SPOSTRZEŻENIA *Kierunek EURO* Katarzyna Drzazgowska

047. DIALOGI FILMOWE

Podróż życia Joanna Fedorczyk, Agata Mianowska

050. ZAWODY ŚWIATA *Nasze stopy to mapa naszego organizmu*

058. SZORT MAT

060. Szkoła Podstawowa nr 167 w Warszawie

Od redaktora

Wakacje, znów przyszły wakacje; na pewno wyciągnę mapę, by przyjrzeć się jej znów. Może zaszaleć, spróbować czegoś nowego? Wyjechać daleko, czy zwiedzać kraj? Chyba za granicę, bo nasze drogi jeszcze na Euro nie skończone, a tak szybko skończyliśmy grę, ale przynajmniej Anglicy przekonali się, że tu nie biją. Szkoda Greków, bo tak fajnie tańczą zorbę. A może tak podróż w czasie? Na gorącą wyspę, do Hawany, do hotelu Ambos Mundos, gdzie na ostatnim piętrze Hemingway pisał powieści; gdzie nie ma sklepów, bo nie ma towaru jak za PRL-u, gdzie można kupić banany i czosnek, gdzie ulicami ciągną stare amerykańskie samochody z lat 50. XX wieku, skrupulatnie remontowane przez kubańskich mechaników... A może wyruszyć na bezkresne żeglowanie z Marco Polo do tętniącej turystycznym życiem chorwackiej Korczuli? Ale oto ogłoszono wyniki matur i nasz Przeciętny Dojeżdżający Maturzysty nie musi się już uczyć, więc teraz myśli, co by tu sobie poczytać? Ale wcale nie jest przeciętny, zdał, podczas gdy jeden na pięciu oblał. I znów wakacje! Anielskie wakacje? Warto usiąść w fotelu i delektować się życiem. Warto odbyć podróż bez mapy, bez biletu, podróż w głąb siebie. Warto narysować swoją mapę biograficzną. Warto zapytać refleksologa o naszą mapę organizmu odbitą na stopach. Warto znaleźć na wielkiej łące kontakt wzrokowy z bliską osobą i porozmawiać serdecznie... A co ja tu o wartościach? Zapraszam do lektury...

JW.

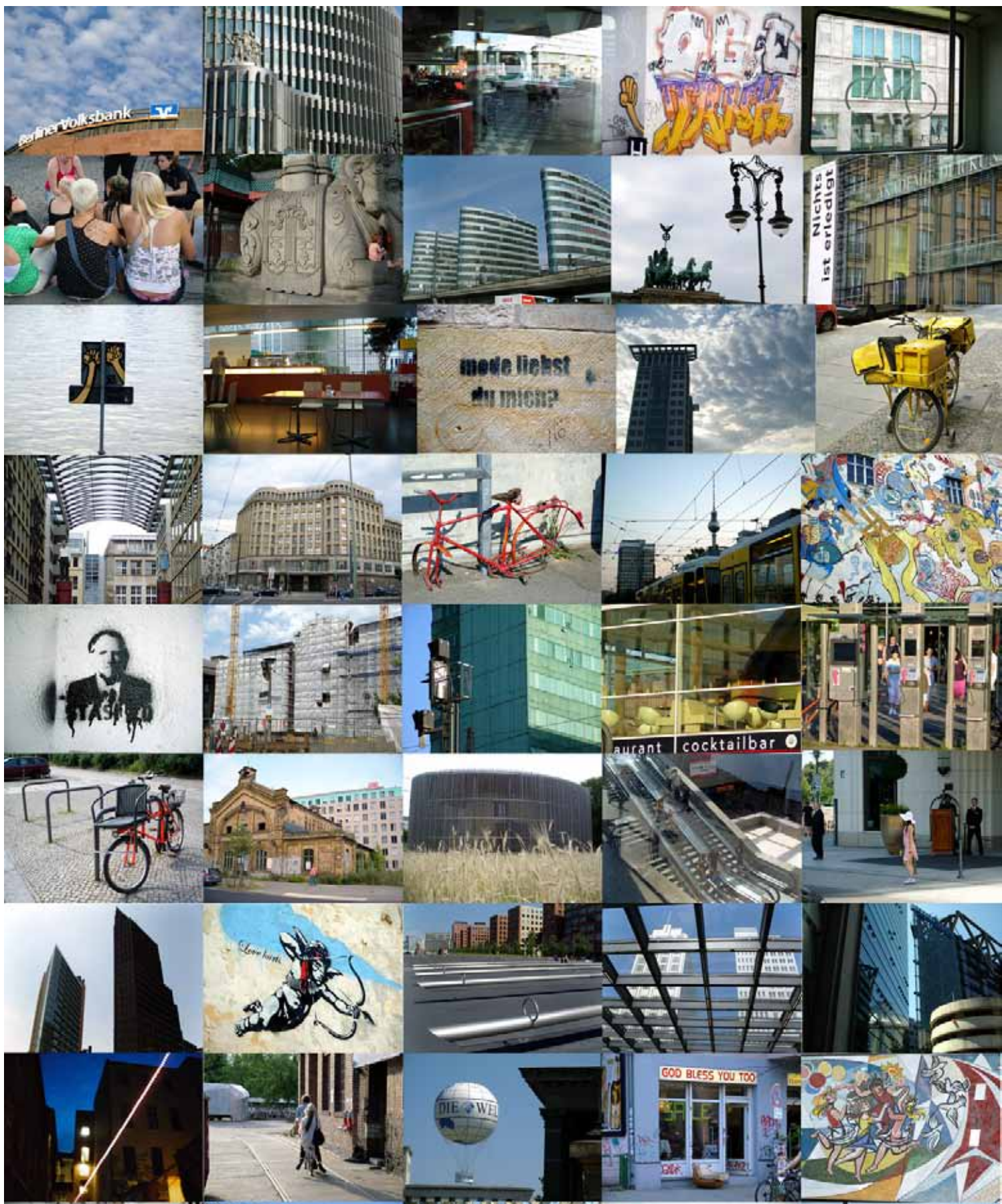


TWOJĄ MYŚL PRZEKAŻEMY INNYM...

Przeczytałam ostatni numer i moje myśli stanęły w miejscu, czas się zatrzymał, emocje były tak silne, że poczułam dreszcze ... Trafiłam do normalności :) dziękuję i czekam z niecierpliwością na kolejny numer. To miejsce jest dla każdego. Jeżeli ktoś uważa, że w życiu ..w pogoni za pieniądzem nie ma miejsca i czasu na normalność to powinien tutaj trafić. To jest jak ... przebudzenie :)

ELA SALAMON





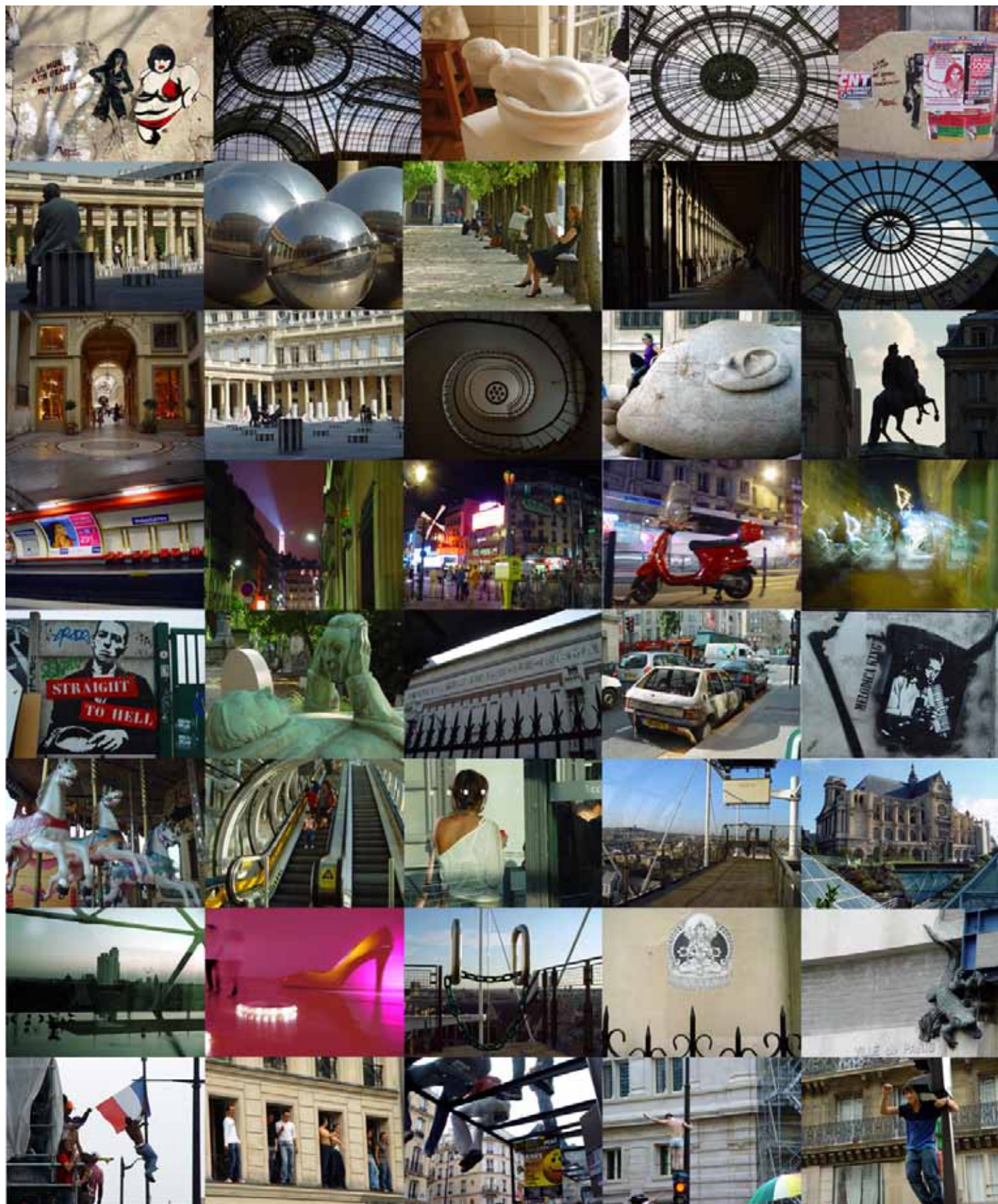
Mapy i biografie, czyli o kartografii życia

Tomasz Ferenc

O mapach możemy myśleć na wiele sposobów. Wiemy jak zmieniały się na przestrzeni wieków, odzwierciedlając transformację wiedzy i wyobrażeń o świecie. Starodawne mapy więcej mówią nam o fantazjach i lękach ówczesnych ludzi niżli o rzeczywistej geografii. Pomimo że w znacznym stopniu były one tworem wyobraźni, nie sposób odmówić im ogromnej estetycznej wartości. Wystarczy przypomnieć sobie rozmaite stwory wyłaniające się z morza na XIV i XV-wiecznych mapach żeglarskich. Dziś, kiedy mapy kreślone są przez satelity, a każdy z nas może korzystać z programów takich jak Google Earth oraz urządzeń typu GPS, wyobrażenie o kartografii ponownie diametralnie się zmieniło. Mapa stała się wirtualnym, interaktywnym narzędziem; jest siecią, która pokrywa cały świat. Możemy też myśleć o mapach inaczej, na przykład w kategoriach biograficznych. Każdy człowiek mógłby nakreślić swoją drogę w geograficznej przestrzeni, zaznaczyć miejsca, w których żył i te, w których znalazł się tylko na chwilę, punkty ważne i te mało istotne. Na takiej mapie mogłyby także znaleźć się miejsca, o których myślimy lub o zobaczeniu których marzymy. Innymi słowy byłaby to mapa miejsc, w których znajdowaliśmy się fizycznie, ale i mapa wyobrażeniowa miejsc, w stronę których kierują się nasze myśli i wspomnienia. Nazwijmy to mapą biograficzną.

Życiowa kartografia

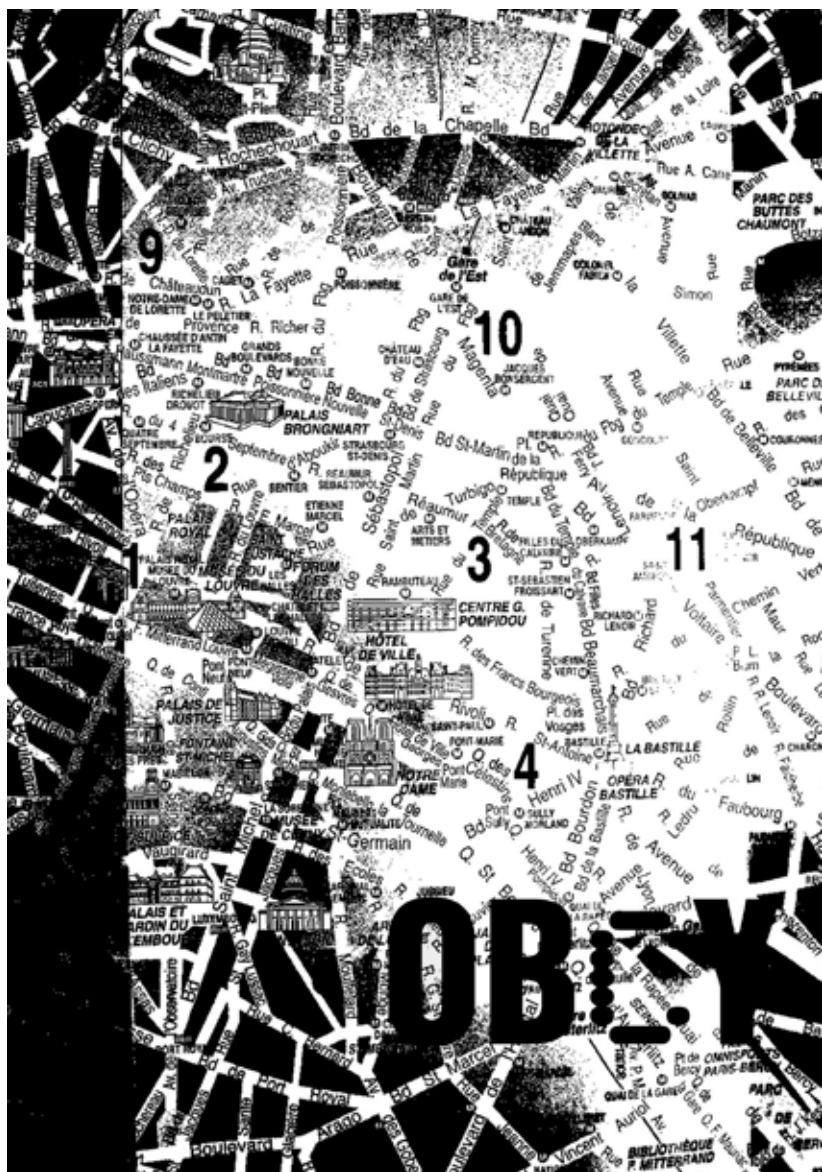
Właśnie tak rozumianą kartografią zajmowałem się przez kilka lat pracy nad książką poświęconą polskim artystom emigrantom, którzy zdecydowali się zamieszkać w miastach takich jak: Londyn, Berlin, Paryż i Nowy Jork. Wybór tych metropolii wynika z tego, że to właśnie tam najczęściej osiedlają się polscy artyści decydując się na opuszczenie Polski. Są to miasta zmitologizowane przez pokolenia twórców, miasta mityczne, w których artysta mógł wznieść się na szczyty swojej kariery i twórczych możliwości, ale i runąć w przepaść rozpacz, osamotnienia, nawet szaleństwa. Na mapach historii sztuki są to wielkie pulsujące punkty, magnesy wciąż przyciągające twórców z całego świata. Biograficzne mapy emigrantów



są niezwykle, a szlaki ich podróży bardzo często są bardzo skomplikowane. Także moja biograficzna mapa podróży i doświadczeń niesłychanie wzbogaciła się dzięki temu badawczemu przedsięwzięciu. A wracając do dosłownego rozumienia pojęcia mapy, to muszę przyznać, że bez dokładnych planów miast nigdy nie udałooby mi się odnaleźć miejsc spotkań z moimi rozmówcami. Mapa stała się dla mnie zarówno metaforą życiowej podróży, jak i podstawowym, obok dyktafonu, elementem badawczego ekwipunku. Jednak, w tym momencie, konieczne staje się chociaż krótkie wprowadzenie w to, na czym polegało badanie i jakie były jego założenia.

Badanie biografii artystów emigrantów – niezbędne wprowadzenie

Punktem wyjścia była dość oczywista konstatacja, że istnieje zjawisko emigracji artystów z naszego kraju, które do tej pory nie zostało przeanalizowane w perspektywie socjologicznej. Pytanie o to, jak układają się losy współczesnych polskich twórców, którzy z różnych powodów rozpoczęli życie poza własnym krajem, stało się kluczowe dla całego projektu. Za najlepszą metodę do realizacji celu badawczego uznałem wywiad biograficzny, polegający (w ogromnym skrócie) na wywołaniu takiej sytuacji, w której interesująca nas osoba opowiada losy swojego życia, przy jak najmniejszej ilości pytań z naszej strony. Osoba taka tworzy w ten sposób narrację na temat swojego życia, która zostaje nagrana na dyktafonie, przepisana i poddana wnikliwej analizie. Udało mi się zgromadzić ponad 60 tego typu opowieści. W gronie artystów emigrantów, którzy wzięli udział w badaniu, znalazło się wielu wybitnych przedstawicieli sztuki polskiej, np. Krzysztof Wodiczko, Gabriela Morawetz, Mariusz Hermanowicz, Bogdan Konopka. Jednak zjawisko emigracji artystycznej dotyczy także twórców, którzy pozostają na obrzeżach świata sztuki. W tym przedsięwzięciu badawczym nie poszukiwano jedynie tych, którzy odnieśli sukces, zaistnieli poza granicami Polski lub zbudowali znaczącą pozycję artystyczną w kraju. Poszukiwano także osób, które zajmują się sztuką, choć nie zawsze stanowi ona ich główne zajęcie. Nie zmienia to jednak faktu, że wciąż pozostają oni artystami. Wielość i różnorodność losów artystów-emigrantów jest pasjonująca, choć można doszukać się pewnych wspólnych dla wszystkich elementów. Fascynująca jest próba zrozumienia, dlaczego niektórzy z nich odnieśli artystyczny sukces, podczas gdy dla innych stał się on nieosiągalny. Jakie mechanizmy, poza talentem i wyjątkowością twórcy, decydują o powodzeniu? Aby odpowiedzieć na to pytanie odwołałem się do różnych socjologicznych teorii, jednak spośród nich najprzydatniejsza okazała się instytucjonalna koncepcja sztuki. To właśnie jej twórcy wskazali na liczne uwarunkowania funkcjonowania tak zwanych światów artystycznych. Jednak w tym



miejsu chciałbym wrócić to problemu życiowej kartografii. W książce znajduje się sporo ilość cytatów z przeprowadzonych wywiadów, są one anonimowe, co wynika z etycznych założeń socjologicznej metodologii. Dwa z takich fragmentów chciałbym przytoczyć ilustrując to, jak odkrywane są nowe plansze na biograficznej mapie.

Odkrywanie nowej planszy

Człowiek osiedlający się w nowym miejscu musi na własne potrzeby stworzyć sobie jego osobistą mapę. Bez tego nie będzie mógł się odnaleźć, nie będzie miał punktów orientacyjnych, pozostanie wyalienowany. Bardzo ciekawym fragmentem wywiadów są opisy pierwszych wrażeń po dotarciu do nowego miejsca, umownie możemy to nazwać odkrywaniem nowej

planszy. Oto pierwsze wrażenie pisarza po dotarciu do Paryża:

„(...) jak 22 lata temu wylądowałem na Orly – poczułem coś takiego w powietrzu, zanim jeszcze zobaczyłem to miasto. Taki przedziwny zapach w metrze. Mieszanina magnezu, kociej szczyny, Bóg wie co. Żadne bogactwo, żaden przepych, absolutnie nie. Coś irracjonalnego, co przechodzi przez całe ciało, przez wszystkie zmysły, przede wszystkim przez węch: że tu jest moje miejsce. I chyba tu naprawdę jest moje miejsce.”

Nie zawsze jednak otwarcie nowej planszy było tak niezwykle i fascynujące. Bardzo często pierwsze wrażenia są druzgoczące, jak w poniższym przykładzie pochodzącym z opowieści młodego malarza lądującego w Nowym Jorku.

„To nagle po Krakowie i innych światowych stolicach wjeżdżam w świat, który jest dla mnie obcy. Małe jakieś uliczki, domki, brud, syf, czarno-zielono-czerwono-żółto, jakieś getta. Ja mówię to jest Ameryka, to jest Nowy Jork? A on nie jechał na Manhattan, jechał na Greenpoint. Myślę sobie, cholera, gdzie ja jadę, przecież to jakaś wiocha. (...)”

Poczucie obcości jest często dominującym doznaniem w pierwszym okresie pobytu za granicą. Zapisywanie nowych stron mapy biograficznej bywa u emigrantów niezwykle dramatyczne, wielu z nich przemieszcza się kilkakrotnie zanim ostatecznie osiadzie w jakimś miejscu na stałe. Dlatego też pojawia się kategoria artystów-wędrowców. Wśród nich byli i tacy, którzy przemieszczali się w obrębie kilku kontynentów. Życiowa kartografia takich osób jest niezwykle bogata, a na ich mapach często pojawiają się trudne do zinterpretowania punkty, linie i białe plamy. Myśląc o życiowych mapach artystów-emigrantów, bliżsi jesteśmy XV-wiecznym mapom żeglarskim niżli nowoczesnym obrazom z Google Earth, na których teoretycznie wszystko widać. Są to bowiem nie tylko geograficzne zapisy kolejnych przemieszczeń, ale także ślady emocji, lęków, nadziei oraz biograficznych planów. Książka ukazuje, jak skomplikowane są siatki życiowe kartografii emigrantów.



Ferenc T. (2012), *Artysta jako Obcy. Socjologiczne studium polskich artystów na emigracji*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Wydawnictwo Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej Telewizyjnej i Teatralnej, Łódź.

Książka dostępna na stronach: wydawnictwo.uni.lodz.pl, <http://www.ksiazki-historia.pl/>, <http://www.akademicka.pl/>, <http://www.naukowa.pl/>

Chorwackie żeglowanie z Marco Polo

Joanna Dudek-Ławecka





Atmosferę każdego miejsca na ziemi tworzy przeszłość jego mieszkańców – fakty, a jeszcze bardziej tajemnice z nią związane. Do słynnych osób chętnie przyznają się więc miasta, wsie i osady, budując wokół domniemanego lub prawdziwego faktu z życia bohatera legendę, która przyciąga zainteresowanie pasjonatów, tropicieli historii i zwykłych turystów.

Nie inaczej jest ze słynnym awanturnikiem Marco Polo. Ten wenecki kupiec z żyłką podróżnika urodził się w roku 1254 i to jest fakt, ale to, gdzie się urodził pozostaje tajemnicą – rywalizują o to Wenecja i Korczula. Tej pierwszej przedstawiać nie trzeba, druga to malownicza wyspa położona w Południowej Dalmacji i jednocześnie nazwa miejscowości na tej wyspie.

Dziś leżąca na wodach Chorwacji, w czasach Marco Polo należała do Wenecji. Nie rozstrzygniemy w żaden sposób tego sporu, przyjmijmy jednak na wiarę, że wielki podróżnik przywitał krzykiem świat na Korczuli i niech to będzie pretekst do odbycia podróży na tę piękną wyspę. Wymarzonym sposobem podróżowania po Chorwacji jest żeglowanie. Nawet ci, którzy nie mają zamiłowania do tego sportu, których przeraża choroba morska i strach, że zagubią się wśród burz na otwartym morzu, mogą spędzić tutaj przyjemne wakacje pod żaglami. Adriatyk z cudowną, niebieską jak z pocztówek, ciepłą wodą aż zmusza do kąpieli, a ilość wysp i wysepek na wybrzeżu dalmackim sprawia, że zawsze mamy kontakt wzrokowy z lądem, co daje duże poczucie bezpieczeństwa tym, którym brakuje instynktu wilka morskiego. Korzyści z takiego sposobu przemieszczania się są ogromne. Podróż upływa w miłej atmosferze, morze zanadto, przynajmniej w wybranych okresach, nie buja. Często nawet trzeba zapuszczać silnik, czym wytrawni żeglarze gardzą, a mniej wytrawni cieszą się, że w spokoju mogą podziwiać piękne widoki. A tych nie brakuje. Płynąc między wyspami, zauważymy charakterystyczny ich kształt – wydłużone, z jednej strony strome, ze ścianami

często kilkudziesięciometrowymi, z drugiej strony niskie, ze schodzącym do morza brzegiem, łatwo dostępne dla łodzi. Po jednej stronie bywają dzikie i niedostępne, po drugiej pełne malowniczych małych portów. Ci, którzy chcą oderwać się zupełnie od cywilizacji znajdą okazję zacumowania na nieprzygotowanym dla turystów brzegu, jak choćby na wyspie Mulet, gdzie nie ma mariny, jest za to wspaniała cicha zatoczka, przez którą przewiozą w środku nocy motorówką miejscowi restauratorzy, mający swój lokal akurat po drugiej stronie. Ci, którzy stawiają na komfort też będą zadowoleni. Chorwacja jest wspaniale przygotowana na przyjmowanie żeglarzy. Nowoczesne mariny z całym zapleczem sanitarnym powodują, że ma się ochotę tutaj pływać, nie męczy prowizorka i nie traci się czasu na prozaiczne czynności. Żeglowanie daje możliwość, zwłaszcza turystom o skromniejszych portfelach, niecodziennego zamieszkania w sercu wyspy, zarezerwowanym często jedynie dla wysokogwiazdkowych hoteli. Dużą przyjemnością jest po przebudzeniu się, prawie w północy zejść z jachtu i napić się kawy w przybrzeżnych kawiarenkach, porozmawiać z innymi żeglarzami, którzy ściągają tutaj z całego świata. Największą atrakcją związaną z "kolegami" żeglarzami przeżyliśmy na Korczuli. Cumowaliśmy

w miasteczku o tej samej nazwie, tuż przy starej części miasta z widokiem na wieże, kościoły i mury. Wieczorem, już po zmroku zrobiło się nagle bardzo jasno. Zobaczyliśmy załogi jachtów zmierzające w jedną stronę. Podążyliśmy szybko za nimi. Za chwilę naszym oczom ukazała się zalana światłem wspaniała jednostka pływająca. Do wybrzeży Korczuli podpływał wielki jacht. Przy nim nasze małe jachciki, okazywały się naprawdę maleńkie. Stojąc na molo, podziwialiśmy na głos, w różnych językach ten wspaniały obiekt i jego załogę – elegancko ubranych lokai w rękawiczkach. Nie udało nam się dostrzec właściciela tego wspaniałego statku, ale rozniosła się wieść, że przyплыł rosyjski milioner. I oczywiście jest to wersja bardzo prawdopodobna. Rano milioner odpłynął i nie wiadomo nawet, czy i kiedy udało mu się zobaczyć tutejsze atrakcje.

Tętniąca turystycznym życiem Korczula ma wygląd zupełnie średniowieczny.

Leżące na cyplu, otoczone murami z XV wieku, pocięte wąskimi uliczkami, które kończą się często schodami prowadzącymi do morza miasteczko warte jest spędzenia kilku godzin, a nawet dni. Wśród zabytków liczne kościoły z gotycko-renesansową katedrą św. Marka z przełomu XIV i XV wieków. Największą atrakcją miasta jest oczywiście Marco Polo. Do domu, w którym się urodził ściągają ludzie z różnych stron świata. Ten podróżnik, który jako pierwszy dotarł prawdopodobnie do Chin ma jeszcze inną bardzo ważną zasługę. To podobno on ze swoich podróży przywiózł przepis na najstynniejszy deser świata – zamrożone kule, czyli lody. W licznych tutejszych kawiarniach warto ich skosztować. Podobnie jak innych chorwackich specjałów, na przykład jagnięciny podawanej z czerwonym winem, ale tu już inna bajka.

JDŁ



Anielskie wakacje

Kasia Bartsch-Cielebon

Mama z niepokojem przyglądała się Beacie, gdy ta niechętnie dziubiała leżące na talerzu placki ziemniaczane.

– Nie smakują ci? – zapytała dla pewności.

– Nie, są bardzo dobre, jak zawsze – odparła tamta – naprawdę. – Ale dla uszu mamy zabrzmiało to: czy mogę już nie jeść?

– Beata, czy coś się stało? – zapytała nie bawiąc się w delikatność.

– Pani od polskiego chce z tobą jutro porozmawiać – odpowiedziała tamta, także bez ogródek. Mama poczuła jak zjeżyły jej się wszystkie włoski na rękach, a żołądek zwinął w piszczący supeł gordyjski. Sama miała ochotę pisnąć: a muszę? Postanowiła jednak trzymać twarz.

– Zatańczyłaś na ławce kankana podczas lekcji? – zapytała z pełną powagą.

– Oj mama, bądź poważna.

– Córką spojrzała na nią z wyraźną dezaprobatą – pani chce porozmawiać na temat moich poglądów.

– O poglądach? – mamę zatkało – o jakich poglądach?

– Oj, sama zobaczysz.

– No, to teraz już naprawdę się boję – włoski stały jeszcze na baczność, ale żołądek zdecydowanie chciał uciec. Po szkolnej edukacji Starszego pozostały niestety złe wspomnienia. Ratowała się jeszcze codziennością, przerzucając placki na patelni – a może ubić ci śmietanki? – zapytała z nadzieją. Beatka dziubiała placki dalej. Oho, ciężka sprawa – pomyślała mama i westchnęła.

Następnego, „sądnego” dnia mama podreptała posłusznie do szkoły i przekroczyła jej próg akurat w momencie, gdy zabrzmiał dzwonek na przerwę. Przywitał ją ryk tysiąca gardeł w wykonaniu około dwustu uczniów i łoskot otwieranych z impetem drzwi. Desperacko przemknęła przed ostrą szarżą czwartoklasistów galopujących na stołówkę, a potem przebijała się przez nonszalancki tłum nic nie widzących gimnazjalistów. Po ciężkich przeżyciach na schodach dotarła wreszcie pod pracownię polonistyczną. Szczupła, młoda kobieta o zaciśniętych wargach podniosła się zza biurka na jej widok. Znały się już.



– Dziękuję, że pani przyszła – zagaiła nauczycielka. Mama pokiwała głową. Żołądek ostro skamlał: Chcę na wolność. Ty sobie tu zostań, a ja ucieknę. Dobrze? Plissss...

– Chciałabym pani coś pokazać. – Pani od polskiego też nie lubiła się bawić w dłuższe gadki-szmatki. – W klasach piątych, mieliśmy teraz konkurs „Najpiękniejsze wakacje”. Powiatowy, czyli taki dosyć znaczący. Beatka też wzięła w nim udział. Czy widziała pani jej pracę? – Mama zdecydowanie zaprzeczyła. Nic takowego do jej rąk nie dotarło. – Tak myślałam. Proszę przeczytać.

Anielskie wakacje

Każdy z nas ma swojego anioła. Czasem jest nim mama, albo tata, albo ktoś, kto nam pomaga, kiedy tego bardzo potrzebujemy. I tak jest naprawdę, bo nie wiadomo skąd, ale rodzice zawsze wiedzą, co się z nami dzieje i starają się nam pomóc. Jak to rodzice. Każdy z nas ma także innego anioła. Takiego, który jest z nim dzień i noc. Ma on bardzo poważne zadanie. Dbą o naszą duszę i chce doprowadzić ją do Nieba. Anioły są bardzo zapracowane. Przynoszą nam wiadomości, walczą z różnymi złymi rzeczami, które nas otaczają i czasem

kontaktują się w naszych sprawach z aniołami innych ludzi. Mój anioł ma na imię Michał i jest najpiękniejszą istotą jaką znam. Dbą o mnie, nawet wtedy, gdy mam przechodzić przez ulicę. Praca aniołów jest właściwie ciągła. Tylko kiedy idziemy do kościoła one odpoczywają. Wtedy jesteśmy pod inną opieką i mogą sobie odetchnąć. Czasem myślę, że to tak, jakby odprowadzili nas do przedszkola. Stoją lub siedzą z nami i po prostu odpoczywają. A kiedy Pan Jezus wstępuje w hostię, klęczą w zachwyceniu i lśnią. I nabierają sił. Bo to dopiero jest Coś. Kiedyś myślałam, że anioły umierają, kiedy ludzie postępują źle. Ale one wtedy stają się coraz smutniejsze i słabsze. A ja bardzo chciałam, aby mój anioł zawsze był silny. Postanowiłam więc zrobić mu wakacje. Taki dłuższy odpoczynek, nie tylko raz na tydzień. Codziennie przez tydzień (bo dłużej mi się nie udało) chodziłam do kościoła na wieczorną mszę. Wiem, że odpoczął. Bardzo się z tego cieszę. A dla mnie były to jak do tej pory najpiękniejsze wakacje.

Mama siedziała jeszcze w zamyśleniu, wpatrując się w zapisaną równym pismem kartkę. Takie poglądy.

Żołądek uspokoił się i stwierdził, dobra, stajemy do walki. Popatrzyła w stronę nauczycielki, która zajęła się jakimiś pracami. Chyba jednak wyczuła spojrzenie mamy.

– No i co pani myśli na temat tej pracy?

– Po pierwsze, jest chyba za krótka na konkurs, to tak moim zdaniem, trochę zbyt ogólnikowa, powtórzenia, może lekko naiwna, ale przede wszystkim napisana z serca – mama podała swoją ocenę.

– Ale, czy nie zastanawia pani tematyka? – podpytywała, a raczej starała się naprowadzić nauczycielka. Mama przyjrzała się jej uważnie. Olbrzymie fale smutku. Niepewność. Samotność. Żołądek pisnął: nie zaczynaj, bo ja nie wytrzymam.

– Co dokładnie pani zarzuca tej pracy?

– Tematyka. Ten temat byłby dobry na lekcji religii. To znaczy taka praca. Na katechezie, jak najbardziej. Ale język polski to...

– Czyli, jakby napisała laurkę o pobycie w Egipcie, albo chociaż na Mazurach czy w jakimkolwiek innym modnym miejscu na mapie to byłoby na temat?

– W mamie się zagotowało.

– Myślę, że byłoby lepiej – potwierdziła polonistka.

– Ma pani rację, mogła podać adres kościoła, albo chociaż wezwanie parafii, zgadzam się jak najbardziej. Myślę jednak, że nie było to dla niej ważne. Chciała przekazać pani i może innym czytającym jakąś myśl. Podzielić się tym.

– Ale na polskim, o aniołach? – jęknęła.

– Nie wierzy pani w anioły? – drążyła mama.

– No, proszę pani... – zabrzmiało to w stylu: przecież jesteśmy dorosłymi ludźmi, bądźmy poważni.

– Nigdy się pani nie modliła do Anioła Stróża? – Kolejny jęk nauczycielki oznajmił: mam do czynienia z nawiedzoną. Uciekać!! – a te wszystkie mniej lub bardziej koszmarnie wizerunki aniołów? Wymysł kultury masowej? Chociaż szczerze, to mogliby się trochę zastanowić – dodała dla porządku – ale widocznie chyba jest taka potrzeba. Stróża opiekuna. Pomocnej dłoni. Bo niby skąd to wszystko się wzięło? Wyssane z palca? – naciskała mama.

– Dobrze, dobrze, rozumiem. Rozumiem pani stanowisko – starała się załagodzić – ale proszę mi wybaczyć, nie wyślę tej pracy na konkurs.

– Dlaczego? Bo jest o aniołach?

– mama z zaskoczeniem doszła do wniosku, że baranieje.

– Tak – przynajmniej jest szczerza, doceniła to mama. Mogła powiedzieć, że jest stylistycznie do niczego.

– Przecież temat był: „Najpiękniejsze wakacje”, to może oznaczać wiele rzeczy. Chęć dawania od siebie jest chyba rzeczą dobrą i godną polecenia – ciekawe dokąd dojdziemy. Nauczycielka z westchnieniem przytaknęła.

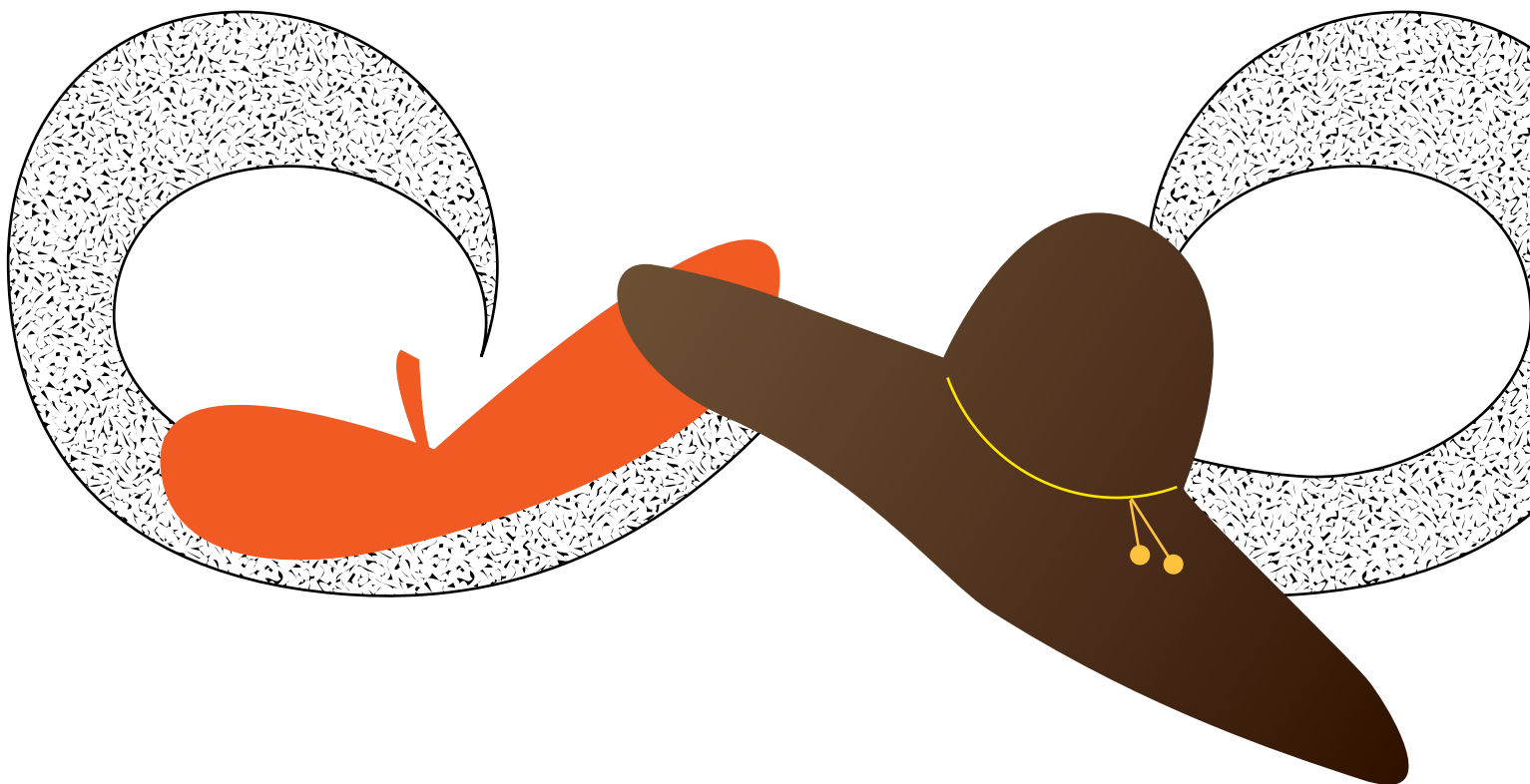
– Ale proszę mnie zrozumieć...

– Rozumiem. Boi się pani ośmieszenia – kobieta odwróciła wzrok.

– To pani musi z tym walczyć. Szczerze... – zastanowiła się mama – szczerze to jestem dumna z mojej córki za jej odwagę i... – wzruszenie uwięziło mamie głos w gardle – po prostu jestem z niej dumna. To pani podejmuje ostateczną decyzję. Może pani to wysłać dalej, albo nie. Tylko niech pani będzie uczciwa. Sama ze sobą – Mama skierowała się do wyjścia.

– A tak poza tym, to jak pani dba o swojego anioła? – otworzyła drzwi. Ciekawe, czy też mamie się wydawało, że pewne dwa anioły mrugnęły do siebie porozumiewawczo.

KBC



Sarna czy baran, co wybierasz?

Tamara Kuświk

Wybrałam sarnę, myślę, że takiego wyboru dokonałaby większość ludzi, ale nie mogę odpowiadać za wszystkich. Ale wszystko po kolei.

Otworzyłam oczy, rozejrzałam się niepewnie. Po chwili, kiedy sen odchodził w zapomnienie, przypominałam sobie wczorajszą podróż. Wyciągnęłam koleżankę z miejskiego huku wprost na łono natury na warsztaty z rozwoju skuteczności osobistej. Małutka miejscowość, mili gospodarze, czyste powietrze i przepiękne krajobrazy. Żyjąc w pędzie, napięciu, walce

o byt, przetrwanie, władzę i pieniądze zapominamy tak naprawdę o nas samych. To ma być daleka podróż, podróż w najgłębsze zakamarki nas samych. Nie wiedziałam, jak mam do niej dotrzeć, pokazać, że tak nie można, że tak się nie da żyć na dłuższą metę. Jeśli nie przystaniemy i nie pomyślimy, nasza meta może okazać się nie tylko przykrym zakończeniem, cierpieniem, ale także może przyjść znacznie szybciej niż się tego spodziewamy.

Spojrzałam na Adę, spała głębokim snem, zakryta po czubek głowy. Pościeliłam łóżko, umyłam zęby i wyszłam na zewnątrz. Poczułam



się błogo, taka cisza, spokój dookoła. Z kawą w dłoni usiadłam na drewnianej ławeczce i zaczęłam rozglądać się zaciekawiona pejzażem. Przyjechaliśmy nocą i nie mogłam obejrzeć miejsca, w którym się znaleźliśmy. Wzięłam głęboki oddech, słońce właśnie wstawało i delikatnie muskało mnie po policzkach. Z zaciekawieniem podeszłam do ogrodzenia i nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam. Polskie Koniki, cała gromada ogierów leżała na łące. Tak leżała. Nie mogłam w to uwierzyć. Do tej pory myślałam, że tylko chore konie kładą się na boku. Z rozmyślań obudziły mnie głosy, powoli budził się dzień, a wraz z nim znajomi, którzy przyjechali w to cudowne miejsce.

– Dziś dzień odpoczynku – usłyszałam głos naszej przyjaciółki i zarazem trenerki – czynnego odpoczynku. Mam nadzieję, że będzie to dzień niezapomnianych wrażeń.

Całą grupą wybraliśmy się na wycieczkę do Parku Dzikich Zwierząt. Miała to być chwilka przerwy i relaks dla duszy i ciała. Przechodziliśmy przez wybiegi dla zwierząt i głaskaliśmy je. Przed wejściem kupiliśmy karmę i podczas wycieczki pod okiem przewodniczki mogliśmy karmić zwierzątka.

Widziałam malutkie osiołki, koniki, sowy, orły, wilki i wiele innych zwierząt, których nazwy nie zapamiętałam. Ostatni otwarty

i dostępny dla nas wybieg był bardzo rozległy.

– Tutaj możecie państwo dać zwierzętom całą karmę – mówiła przewodniczka – w dalszej części parku nie można już karmić zwierząt. Zwierzęta podbiegały do nas całymi stadami. Widziałam jak uczestnicy wycieczki najchętniej karmią młodziutkie zwierzątka, wydawały się takie bezsilne wobec przepychających się dorosłych osobników stada. Trzymając w dłoni karmę, rozejrzałam się po wybiegu. W oddali, na samym końcu zobaczyłam sarnę. Stała i patrzyła na nas, bojąc się podejść. Powoli podeszłam do sarny i delikatnie, aby jej nie spłoszyć, wyciągnęłam dłoń z karmą. Była piękna, jej sierść błyszczała w słońcu. Spojrzała na mnie nieufnie i pochyliła się w kierunku mojej dłoni. Nagle usłyszałam własny krzyk...

*

– Dobrze się pani czuje?

Ocknęłam się. W pierwszej chwili nie wiedziałam co się stało, ile czasu minęło. Ciarki przeszły mi po plecach, serce biło przyspieszonym rytmem i poczułam przyływ paniki.

*

Wieczorem podczas kolacji uczestnicy warsztatów opowiadali swoje wrażenia z całego dnia. A mieliśmy

ich wiele, był spacer po puszczy, spływ kajakowy i wycieczka do parku zwierząt. O dziwo, sama niewiele miałam do powiedzenia i kiedy przyszła moja kolej, widziałam wokół rozbawione twarze uczestników warsztatów. Jedni starali się ukryć swoją radość, inni śmiali się głośno niemalże chichocząc. Doszłam do wniosku, że najprawdopodobniej źle zinterpretowali całe zdarzenie. Postanowiłam być ponad tym i ze szczegółami opowiedzieć swoje wrażenia z mojej przygody z ...

– W oddali, na samym końcu zobaczyłam sarnę – rozpoczęłam.

– Stała i patrzyła na mnie, bojąc się podejść. Skierowałam się w jej kierunku. Koło mnie stanął stary, liniejący baran. Wyglądał obrzydliwie. Miejscami miał gołą skórę, był duży, miał wielkie, zaokrąglone rogi i co chwilę trącał mnie łbem, abym go nakarmiła. Odsunęłam się pośpiesznie i pomyślałam: – Idź sobie precz, mam wybór i mogę nakarmić kogo chcę.

Przyśpieszyłam kroku – kontynuowałam swoją opowieść – kierując się w stronę samotnej sarny. Baran był niestrudzony, biegł za mną i nie dawał o sobie zapomnieć. Powoli podeszłam do sarny i delikatnie, aby nie spłoszyć jej wyciągnęłam dłoń z karmą. Była piękna, jej sierść błyszczała w słońcu. Spojrzała na mnie nieufnie i pochyliła się. Nagle poczułam silne uderzenie

w tyłek, zachwiałam się i poczułam ból. W pierwszej chwili nie wiedziałam co się stało, karma wysypała się na ziemię, a ja próbowałam złapać równowagę, aby się nie przewrócić. Pamiętam, że zamarłam, zupełnie straciłam poczucie czasu. Obejrzałam się za siebie i zobaczyłam uciekającego barana. Po chwili dopiero zrozumiałam co się stało. Wściekły baran ubódł mnie rogami w tyłek. Domyślałam się, że był zły, że nie otrzymał jedzenia. Ogarnęła mnie wściekłość. – Co za bezczelny typek – opowiadając narastała we mnie złość – impertynencki, szelmowski i chamski. Chciałam za nim pobiec i mu pokazać, kto tu rządzi, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Stałam tak i czułam, jak ogarnia mnie coraz większa furia.

– Co za zuchwały i arogancki zwierzak – kończyłam opowieść. – Do tej pory nie mogę się otrząsnąć z tego zdarzenia. Chyba tam wrócę i policzę się z gagatkiem. Cała grupa śmiała się, niektórzy prawie popłakali się ze śmiechu, a ja wciąż czułam złość, złość na wrednego barana.

– Pomyśl o tym, co cię spotkało – usłyszałam głos naszej koleżanki, prowadzącej warsztaty. – Nie ma w życiu przypadków – kontynuowała. – Nic nie dzieje się bez przyczyny.

No tak, jeszcze może mam dojść do wniosku, że baran próbował mnie

czegoś nauczyć – myślałam nadal wkurzona. Na wycieczce w mojej grupie było około 30 osób i ten baran z całej wycieczki wybrał akurat mnie. Mnie jedną, która oddaliła się od grupy, aby nakarmić piękną sarenkę. Pamiętam, że moja koleżanka Ada ganiała za tymi baranami, aby dać im jeść, ale one uciekały, uciekały, aby pobiec za mną i mnie pacnąć w tyłek i to jeszcze w imię nauki! Tego już za wiele – myślałam.

Dalsza część wieczoru przebiegła bardzo wesoło, oczywiście bohaterem był nie kto inny jak stary, wyliniały baran. A ja ze swoją złością stałam się obiektem żartów.

Kiedy wieczorem kładłam się spać, wciąż po głowie chodziły mi myśli i przypominałam sobie zdarzenie. Krok po kroku, jak na początku baran prosił mnie o karmę, jak go zignorowałam, jak udałam się w kierunku sarny i jak chciałam jej dać przysmak. Jak baran szedł obok mnie, jak patrzył mi w oczy, a ja odwróciłam wzrok i powtarzałam sobie, mam karmę, mam władzę i wybór – to ja decyduję, które zwierzę nakarmię.

Jednak słowa naszej trenerki nie dawały mi spokoju „Nic nie dzieje się bez przyczyny”. Próbowałam zrozumieć to przesłanie.

I nagle spłynęły na mnie dwa słowa: piękno i brzydota. Zaczęłam analizować swoje wybory i puenta

rozkwitła w mojej głowie. W swoim życiu do tej pory kierowałam się wzrokiem i wybierałam to, co powierzchownie jest piękne, atrakcyjne. Nie zagłębiałam się nigdy we wnętrze, nie było to dla mnie ważne. Lubię otaczać się pięknem, ale dopiero teraz zrozumiałam, że moje piękno jest zewnętrzne. Piękne meble, piękne samochody, przystojni mężczyźni. Ile razy słyszałam na ulicy słowa koleżanek: – Zobacz jaka śliczna dziewczyna, a jaki brzydał idzie z nią za rękę, matko, co ona w nim widzi?”

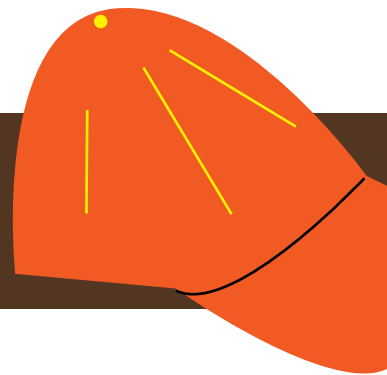
No, właśnie, co tak naprawdę daje nam poczucie zadowolenia? I nagle: eureka! Prawdziwe piękno jest we wnętrzu, to do niego powinniśmy starać się dotrzeć, ono bowiem jest najważniejszą treścią prawdziwego szczęścia.

W drodze powrotnej, prowadząc samochód towarzyszyło mi pochrapywanie Ady. Spojrzałam na koleżankę i przypomniałam sobie cel naszej wycieczki. To miała być podróż, podróż bez mapy, bez biletu, podróż w głąb siebie. Chciałam, aby przystanęła, spojrzała, pomyślała i przeanalizowała swoje życie. Uśmiechnęłam się do siebie, chciałam nauczyć innych, a największą naukę tej podróży pobrałam ja sama.

TK

Najdłuższe wakacje życia

Karolina Dyja



Pamiętacie Przeciętnego Dojeżdżającego Maturzystę? W poprzednim odcinku był sfrustrowany, zmęczony, przepracowany i złorzeczył.

Od pewnego czasu korzysta jak może z pierwszych tygodni najdłuższych wakacji swojego życia. Jak przetrwał czas matur i co robi, kiedy pojęcie „czas wolny” nabrało bardzo realnych kształtów?

„Tu leży wasza przyszłość” – powiedziała Pani Przewodnicząca pierwszego dnia. Przeciętny Dojeżdżający Maturzysta westchnął w duchu. A co, jeśli świetlana przyszłość stanie się nagle mniej świetlana, bo znienawidzonemu Mickiewiczowi, Słowackiemu albo Żeromskiemu przyjdzie ochota na zemstę z za grobu?

Przez kilka kolejnych dni Maturzysta próbował liczyć,

średnio co piętnaście minut, wpadając w bezdenną otchłań rozpacz (ktoś uzdolniony matematycznie chyba nigdy tego nie zrozumie). „Stwierdzam, że nie umiem, bo Operon...” – było powiedzeniem jak najbardziej adekwatnym.

Na szczęście matematyka doceniła jego starania; Maturzysta wrócił do domu zadowolony. Książki wylądowały na stosie z napisem „na makulaturę”, a arkusze – w koszu na śmieci. Maturzysta odnotował, że ich widok jest wymowny, a chwila naprawdę historyczna.

Kolejne matury szły już lepiej. Maturzysta wszedł w rytm, przyzwyczał się do nerwów i czuł coraz pewniej. Zniósł nawet wypracowanie o emigrantach, chociaż szybkie pisanie skończyło

się doskwierającym przez dłuższą chwilę bólem ręki.

Egzaminy ustne przyprawiły Maturzystę o palpitacje serca, żołądka, trzustki i wątroby. Niby matura to bzdura, ale zdać trzeba, prawda?

Koniec końców, Maturzysta (z dwoma zdanymi egzaminami w zapasie) został uwolniony ze szponów szkoły i wzbudza zazdrość zwykłych śmiertelników. Budzi się „kulturalnie” o dziewiątej lub później; dzień zaczyna leniwie od kawy i przeglądu programów telewizyjnych.

Na półce Maturzysty urósł stosik książek. Dylemat „czego się uczyć” został zastąpiony przez „co przeczytać”. Zacząć od Oriany Fallaci czy kryminału historycznego?

Plany rozwoju literackiego również mają się dużo lepiej. Jak wiadomo, najlepiej tworzy się nocami. Do szkoły wstawać nie trzeba, więc „zasiedzenie się” przy opowieści wcale nie skutkuje porannym efektem zombie.

Poza tym długie wolne w czasie wielkich wydarzeń sportowych

to nie lada gratka. Maturzysta oblizuje się prawie lubieżnie na samą myśl o Lidze Światowej, Roland Garros i Euro 2012. Jeśli dodać do tego nieskrępowany dostęp do Eurosportu (w końcu domownicy w godzinach przedpołudniowych męczą się w pracy albo szkole) to otrzymamy obraz małego raję fanatyka sportowego.

– A może jutro nauczycieli nie będzie, dyrektor zaśpi...
– westchnął Młodszy Brat Maturzysty pewnej deszczowej niedzieli.

– Widzisz, lepiej być Maturzystą...
– Nienawidzę cię...

Trudno. Maturzysta nie ma zamiaru przejmować się młodocianymi „hejterami”. W końcu zdążył się już w tym roku mocno napracować!

KD

Kuba – Moja podróż w czasie

Wojciech Bober

Kiedy po 24 latach wylądowałem na lotnisku w Hawanie i rozejrzałem się po nowym obiekcie, nie zobaczyłem już przy stanowiskach odprawy wag z Lubelskiej Fabryki Wag ani służby celnej, szukającej pretekstu do zabrania jakiegokolwiek wwożonej na Kubę żywności. Są zmiany na lepsze – pomyślałem. Przed lotniskiem czekał klimatyzowany autobus Havanatur, a przed nim zespół taneczno-muzyczny. Ciepły wieczór i gorące rytmy napełniły mnie pozytywną energią. Szlagierem był motyw z Buena Vista Social Club Wima Wenders’a. Znalazłem się w ekskluzywnym hotelu przy Quinta Avenida, reprezentacyjnej alei ambasad. Tutaj znajduje się ambasada Rosji, kiedyś Związku Radzieckiego – ogromny betonowy



budynek wyposażony we własną mini elektrownię, ze składem paliw, magazynami żywności, mogący funkcjonować niezależnie, w przypadku zagrożenia, przez 2 lata. Spacer po Hawanie zacząłem wcześniej rano. Ciemne chmury zwiastowały deszcz, było ciepło. Nie mogłem się doczekać, kiedy ponownie znajdę się na ulicach Starej Hawany. Jak będzie wyglądała po prawie ćwierć wieku? To co zobaczyłem było dla mnie przykrym zaskoczeniem. Hawana „ginie”. Obdarte z elewacji budynki straszą, wśród nich jest tylko kilka odrestaurowanych. Mówi się, że to Fidel pozyskał dotacje z UNESCO, po tym jak Hawana została wpisana na listę Światowego Dziedzictwa Kultury w roku 1982. Wspaniale wyglądający jako jeden z nielicznych odrestaurowany dom przedrewolucyjnych przemysłowców rodziny Baccardi, kontrastuje ze zniszczonymi budynkami obok. Dziś słynny kubański rum „Baccardi” ma zmienioną nazwę na „Havana Club”, a do jego produkcji wykorzystuje się nadal stare, jeszcze sprzed Rewolucji, pochodzące z fabryki Bakardich, urządzenia. Kilkanaście ulic dalej znajduje się odnowiony Hotel Ambos Mundos. Stonowany różowy kolor elewacji wspaniale kontrastuje z białymi gzymsami i ozdobnymi elementami wokół okien. Ostatnie piętro zajmował przez wiele lat Ernest Hemingway. Podobno w tym apartamencie powstawały jego najbardziej znane powieści. Nie mogłem ominąć baru „Bodeguita del Medio”, w którym pisarz topił swoje myśli w rumie. Ciasne pomieszczenie z wiatrakami pod sufitem, pełne starych fotografii, autografów sławnych gości na ścianach, ludzi palących cygara, wypełniała muzyka na żywo. Muzyka i taniec towarzyszy codziennemu życiu Kubańczyków. Pomimo szarej rzeczywistości, większość mieszkańców stolicy jest schludnie i kolorowo ubrana. Na ulicach nie leżą śmieci, a tajemnicą niech pozostanie, kto i w jaki sposób je sprząta. Skąd ludzie zdobywają środki chemiczne na pranie, które widzi się rozwieszone na balkonach, oknach i podwórkach kamienic. Jeśli ktoś chce zobaczyć kraj bez sklepów (z wyjątkiem sklepów z pamiątkami dla zagranicznych gości), to





Kuba jest właśnie takim miejscem. Na jednym z placów rozstawione są dziesiątki straganów tylko z używanymi książkami. To królestwo bookinistów, to jedyna „księgarnia” w mieście. Na rogach niektórych ulic można zobaczyć sprzedawców bananów i czosnku.

Kolorytu miastu dodają jeżdżące ulicami stare amerykańskie samochody z lat 50. XX wieku. Te żywe, mobilne muzea mijają mnie co kilka sekund. Jestem pełen podziwu dla kubańskich mechaników. Brak możliwości ściągnięcia części zamiennych do aut wymusiło nieprzeciętne zdolności remontowe ich właścicieli. Mogą dorobić dowolny element,

bądź zastąpić go czymś zupełnie innym w każdym z tych starych samochodów. Pokazywano mi auta, w których oryginalna pozostała tylko karoseria i wyposażenie wnętrza. Jadąc wieczorem starym kabrioletem do kabaretu Tropicana, usłyszałem od kierowcy, że musi hamować silnikiem, bo ma niesprawne hamulce. Czeka na jakąś część już kolejny miesiąc. Uśmiechając się do mnie, mówi z radością w głosie „Senior, no problem”. W hawańskiej rzeczywistości, właściciele tych zabytków są naprawdę szczęśliwcami. Mogą zarobić całkiem spore kwoty, wożąc po mieście turystów. To jedna z głównych atrakcji Hawany.

Tropicana, słynny kabaret, założony w 1939 roku, został zachowany po Rewolucji i rozbudowany w celu przyciągnięcia turystów. Witający w eleganckich garniturach

ochroniarze są zapowiedzią wspaniałego widowiska. Dwugodzinny spektakl jest historią mieszkańców wyspy i muzyki towarzyszącej ich życiu, od czasów Indian po współczesność. Wspaniałe stroje tancerek i tancerzy są niezapomnianym wrażeniem. W trakcie całego mojego pobytu na Kubie w każdej restauracji, barze czy hotelu w czasie posiłku pojawiała się grupa muzyczna. Po zakończeniu krótkiego występu oferowała płyty CD z ich repertuarem, wyprodukowane „domowym” sposobem. Duża gratka dla kolekcjonerów muzyki.

Gdyby nie kierowca wynajętego mini busa, nie miałbym pewnie szansy na zobaczenie prawdziwej kubańskiej wsi. Jadąc przez środek kraju na południe wyspy, mijając plantacje trzciny cukrowej, stalowe szkielety rozpadających się cukrowni, zjechaliśmy z drogi asfaltowej na szutrową. Przejazd przez góry był przygodą wyjętą jakby z książki podróżniczej. Mijając lasy palmowe oraz tereny porośnięte nieznana mi roślinnością, wspinaliśmy się krętymi drogami w górę. Mijaliśmy pojawiających na drodze mężczyzn, prowadzących konie, choć w pobliżu drogi nie widziałem żadnych zabudowań. Po chwili skręciliśmy ostro w lewo pod górę. Kierowca oznajmił, że jesteśmy na miejscu. Chciał pokazać mi jak mieszkają jego znajomi, mający małe gospodarstwo z dala od cywilizacji. Drewniana chata z powodzeniem mogłaby stanowić cenny eksponat w skansenie. Konstrukcja domu składała się z okorowanych pni drzew o różnej grubości. Przed wejściem wisiała na sznurach huśtawka dla dzieci. O ścianę oparty „zabytkowy” czerwony rower. Powitała nas ubrana w czerwone szorty i czerwoną koszulkę na ramiączkach kobieta. Od razu zaprosiła mnie do

środku. Wewnątrz korytarz z klepiskiem rozdzielał dwa pomieszczenia, sypialnię gospodarzy i pokój do spania dla dzieci. W pokojach, wycięte w ścianach, otwory okienne z powieszonymi w nich jasnymi tkaninami wentylowały pomieszczenia. Łóżka o drewnianej konstrukcji, z siennikami, zaścielone były nieskazitelnie białym prześcieradłem.



Całe wnętrze utrzymane w idealnej czystości. Pani domu zaproponowała kawę oraz zebrane z ogrodu banany. Po przejściu do pomieszczenia, które okazało się kuchnią, zauważyłem w misce, na drewnianym stole żółtą papkę. Widząc moje zainteresowanie, pani domu wyjaśniła, że jest to maniok. I tak spróbowałem go po raz pierwszy. Miał mdły smak. W kuchni pojawił się gospodarz i zaproponował, że oprowadzi mnie po tzw. obejściu, usytuowanym na dość stromym, opadającym terenie. Rodzina miała małą plantację kawy i bananów, kilka kur i... wielką radość życia, emanującą z każdej twarzy. Sposób, w jaki gospodyni przyrządziła kawę wprowadził mnie w zdumienie. Świeżo palone ziarna kawy zostały przez nią zmielone w młynku zrobionym ze starej maszynki do mięsa. Potem w drewnianej skrzyni wypełnionej gliną, z wyłobionym po środku zagłębieniem na kształt rynny, która okazała się „kuchenką”, ułożyła stos drobnych szczap drewna. Przypominał on miniaturowe ognisko. Kiedy zapłonął ogień, z wiadra stojącego na ziemi nabrała tygłem wody, dosypała do środka tygla zmielonej kawy i postawiła na ogniu. Po zagotowaniu i pozostawieniu na ogniu jeszcze przez chwilę, nalała pachnący wywar do małych szklanek. Ta kawa – jej aromat wypełniający całe pomieszczenie, jej smak, oleistość i sposób podania – była po prostu wyśmienita. Usiadłem w bujanym fotelu na korytarzu i delektowałem się



życiem. Miałem nieodparte wrażenie, że rodzina jest dumna z mojej wizyty, ale też ze swojej gościnności.

Najpiękniejsze miasto, jakie udało mi się odwiedzić i spędzić tam wiele godzin to Trinidad de Cuba. Położone na południu wyspy jest prawdziwą perłą kolonialnej architektury hiszpańskiej z XVI wieku. Brukowane uliczki rozdzielają rzędy domów zamieszkałych często przez potomków starych rodzin. Stojąc na przepięknym Plaza Mayor, otoczonym wspaniale zachowanymi budynkami, przenoszę się w czasie do centrum handlu cukrem i niewolnikami. Domy wokół placu dają wyobrażenie o zamożności właścicieli ziemskich tamtej epoki. Wielu turystów spaceruje wąskimi uliczkami, aby znaleźć się na targu rzemieślniczym i podziwiać lokalne arcydzieła sztuki: biżuterię, koronkowe obrusy i serwetki, instrumenty muzyczne i nieodłączne w takich miejscach T-shirty. Uprzejmi i uśmiechnięci sprzedawcy, zapraszają do obejrzenia swoich towarów. Nie ma w ich zachowaniu ani odrobiny nachalności. To rzadkość we współczesnym świecie. To miasto rzuciło na mnie magiczny urok. Nie chcę stąd wyjeżdżać. Moją uwagę przykuł nagle napis na budynku „Canchanchara”; ta XVIII-wieczna kamienica kryje w sobie miejsce zwane „casa de infusiones”, które jest rodzajem kawiarni. Tutaj serwowany jest bardzo słynny koktajl o nazwie *canchanchara*, składający się z rumu, cytryny, wody, miodu i *aguardiente* (rodzaju syropu). Podano go mi w glinianej czarce. Po drugiej zaszumiało mi w głowie. Jak spod ziemi wyrosła grupa muzyczna, a ponieważ posiadałem guiro, instrument wykonany z wyschniętego owocu drzewa guira, zaproszono mnie do wspólnego grania. I znowu temat z Buena Vista przeniósł mnie w czasie...

Na koniec kilka słów „o polityce i ekonomii” i ich wzajemnym przenikaniu się. Średnia miesięczna pensja Kubańczyka wynosi ok. 80 zł. Jest to tylko część miesięcznych przychodów. Resztę stanowi „szara strefa”, sprzedaż „państwowych oszczędności” takich jak na przykład paliwo, żywności z sektora hotelarskiego, oryginalnych cygar za pół ceny prosto z linii produkcyjnej, czy też ich podróbek. Jakie to niesamowite uczucie cofnąć się 40 lat do czasów PRL-u, do kartek żywnościowych, do wymiany barterowej produktów uzależnionych od miejsca pracy. Nadal obowiązują dwie waluty: peso *convertible*



(wymienialne) dla obcokrajowców i peso kubańskie dla obywateli. Dysproporcje między nimi są ogromne. Posłużę się tutaj przykładem, który doskonale to zobrazuje. Kawa w hotelach bądź restauracjach kosztowała mnie 1 CUC (tzw. kuka) tj. równowartość 4 zł. Podróżując w głąb wyspy zatrzymałem się w małej miejscowości. Przy głównej ulicy, na dystansie kilkuset metrów znajdowało się co najmniej sześć pizzerii. Pizzeria to kawałek ziemi przed domem, gdzie stoi piec do pizzy opalany drewnem, zrobiony ze starej kuchenki. Do każdej z nich stała długa kolejka klientów. Mając lokalne peso kawa parzona w tygielku kosztowała mnie 6 gr, a pizza od 2 do 3 zł!

Bardzo oryginalnym pomysłem jest transport samochodowy Kubańczyków po kraju. Na rogatkach miast stoją umundurowani na żółto urzędnicy państwowi. Ich zadaniem jest zatrzymywanie pojazdów osobowych, wyjeżdżających z danej miejscowości. Obok urzędników stoi zawsze grupa ludzi z bagażami lub bez. Urzędnik pyta kierowcę dokąd jedzie i ile ma wolnych miejsc w swoim aucie,



po czym zaprasza do auta ludzi z grupy, wybierających się w tym kierunku. Nie może się przecież zmarnować wolne miejsce, to istna rozrzutność. A może to przyszły raj dla autostopowiczów?!

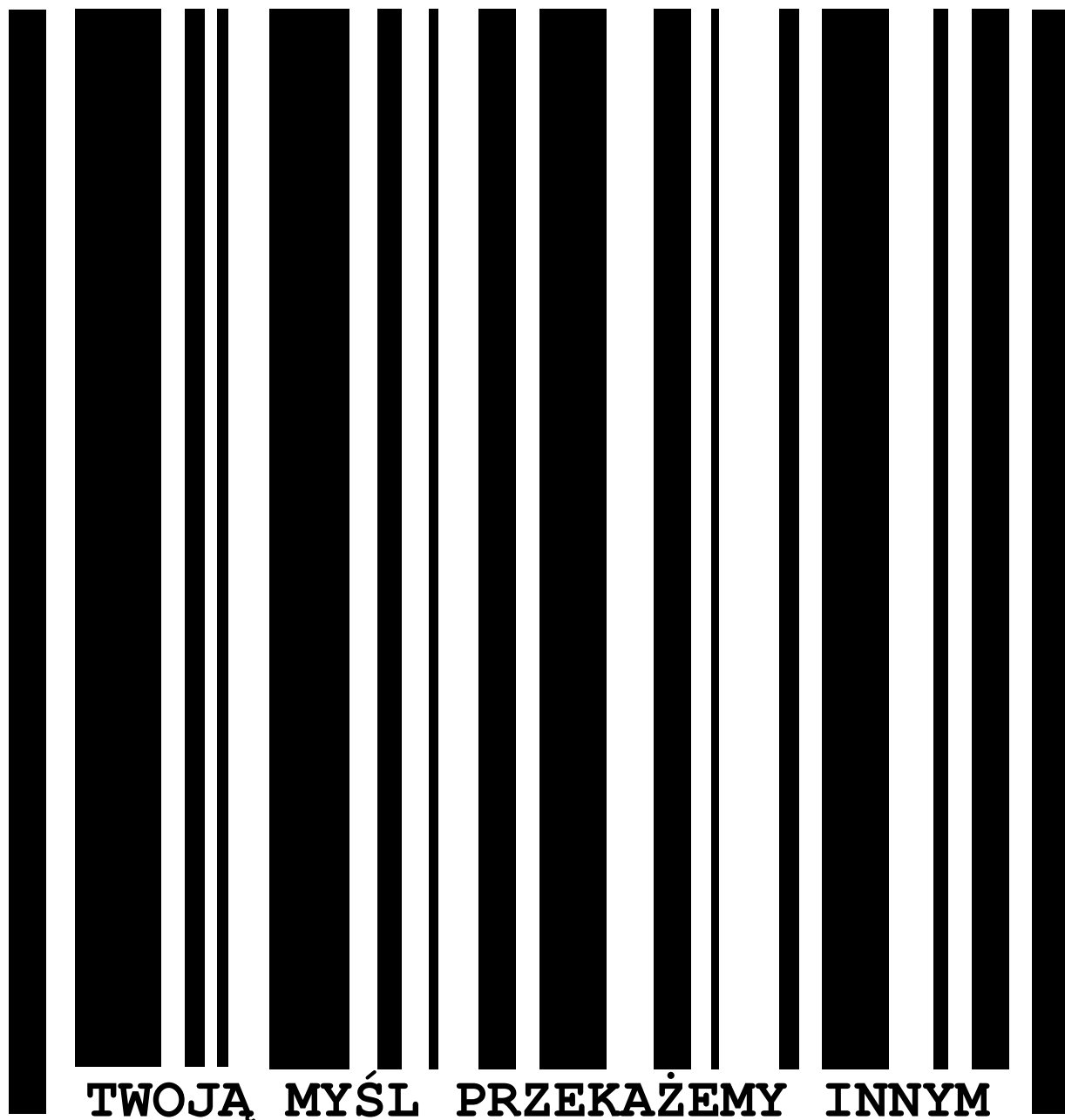
Od czasów Rewolucji do dziś ok. 2 mln Kubańczyków uciekło z wyspy. Przypomniał mi się czarny humor, który przeczytałem kilka lat temu. W tutejszym ZOO były umieszczone typowe dla tego miejsca tabliczki „Nie karmić zwierząt”. Kiedy zaczęły się problemy z żywnością, pojawiły się nowe „Nie wyjadać zwierzętom”, a gdy kryzys powiększył się jeszcze bardziej „Nie zjadać zwierząt”. Magnesem przyciągającym gości ze świata jest ciągle jeszcze „dziewiczość” krajobrazu, plaż, małych uroczych miasteczek i wsi. Wehikuł czasu przeniósł mnie 50 czy może 60 lat wstecz.

Kubańczycy żyją nadzieją. Będzie lepiej, łatwiej, normalnie. Wielką szansą jest dla nich turystyka. Świetnie pasują tu słowa Nietzschego: „Ten kto wie, dlaczego żyje, nie troszczy się o to, jak żyje”.

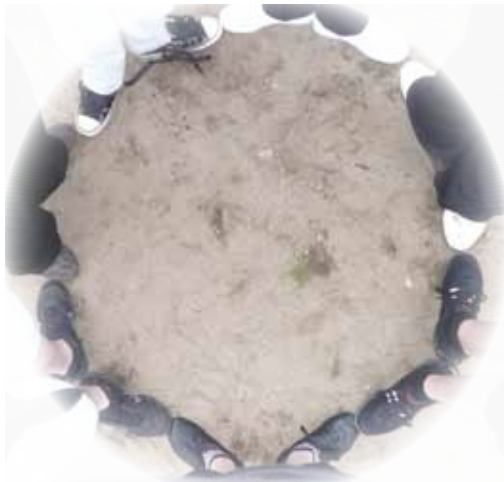
WB







Twoja reklama w Gazetowni
marketing@pistacjamedia.com



Słóńca

Piruetety wokół

Joanna Wroczyńska

Podczas każdego tańca, któremu oddajemy się z radością, umysł traci swoją zdolność kontroli, a ciałem zaczyna kierować serce.

Paulo Coelho

Nadeszły wakacje, czas wypoczynku, podróżowania do ciepłych krajów. Mnie udało się jeszcze połączyć te wszystkie aspekty z pracą i w ten sposób wylądowałam w greckim hotelu jako animatorka czasu wolnego dla dzieci. Z racji na obserwacje, jakie tu poczyniłam, pozwolę sobie lipcowe „Piruetety” poświęcić właśnie tańcom, które mnie tutaj otaczają.

Najbardziej znany na świecie taniec grecki to sirtaki, który popularnie zwany jest od filmu „Grek Zorba” właśnie zorbą, nawiązuje do tradycyjnych tańców ludowych. Tutaj tańczony jest często jako uatrakcyjnienie wieczoru greckiego

w tawernie albo hotelu, ale ma przede wszystkim czynnik integrujący. Zorbę tańczy się razem, w grupie: obejmując się za ramiona, nogami kopujemy na zmianę lewą, prawą i robimy krok w bok. Nie jest to skomplikowane i dlatego turyści, którzy na początku są tylko obserwatorami, chętnie włączają się do tańca. Muzyka jest tym, co sprawia, że zorba staje się jeszcze atrakcyjniejsza. A dlaczego? Poprzez tempo, które z początku wolne, w trakcie trwania tańca rozkręca się i zmusza do nadążania z krokami, by skończyć utwór w naprawdę żywiołowym tempie. Dodatkowo Grecy urozmaicają jeszcze to wydarzenie poprzez gromkie

okrzyki przy każdym akcencie w tańcu. Spotkałam się także na wieczorze greckim z czymś zupełnie mi wcześniej nie znanym, a jest to taniec z kieliszkiem wina na głowie. Tancerz poruszał się sprawnie do muzyki, stawiając kroki w różne strony i wykonując delikatne ruchy rękami. Można próbować!

Na wakacjach rewelacyjną formą relaksu, która dodaje pozytywnej energii, a także jest okazją do integracji z innymi ludźmi są tańce animacyjne, prowadzone przez animatorów. Taniec taki zazwyczaj składa się z bardzo prostych i nierzadko zabawnych kroków, które są powtarzane w nieskomplikowanej kombinacji przez cały utwór. Zamysł jest taki, żeby każdy powtórzył kroki i szybko się nauczył, a nie denerwował, że coś nie wychodzi. Ma to być taniec odpowiedni dla każdego. Dodatkowo muzyka pełni ważną rolę – są to najczęściej chwytliwe hity, o energicznym rytmie i wesołej melodii. Tańce animacyjne skierowane są dla dorosłych i dla dzieci. Te drugie tańczone są do typowo dziecięcych piosenek i często choreografia opiera się na zasadzie pokazywania tekstu śpiewanego, co dzieci bardzo lubią. Animatorzy w obu przypadkach pełnią rolę nauczyciela, pokazując kroki, ale też motywatora, ponieważ wygłupiają się i dopingują, zachęcając wszystkich do tańca.

Udane tańce animacyjne zawsze kończą się głośnymi brawami

i nierzadko prośbą o jeszcze jeden utwór. Oczywiście istnieje wiele takich tańców, ale zazwyczaj turystom na danym turnusie najczęściej przypada do gustu coś wyjątkowego, co tańczy się następnie dzień w dzień do tych samych piosenek po to, aby kroki były dobrze opanowane i aby na dźwięk znanych melodii nogi same rwały się do tańca.

JW





WIEDŹMA

Katarzyna Bartsch-Cielebon
powieść w odcinkach
cz. IX

Dla Marianny czerwcowe dni wypełnione były pracowitym zbieraniem ziół, podbieraniem pszczołom miodu i troskliwym doglądaniem Odiny, która nie mogąc znaleźć zainteresowania w oczach tutejszych chłopców męczyła matkę, aby ta pozwoliła jej udać się do zamku. Dziewczyna miała nadzieję, że przyjmą ją tam na służbę. A wtedy może, kto wie i ten ciemnooki młodzieniec ją dostrzeże. Kiedy pojawiały się w jej myślach takie marzenia, całe jej ciało miękło w dziwny sposób, a nogi odmawiały

posłuszeństwa. Gdyby tylko Marianna zgodziła się, Odina pobiegłaby na skrzydłach. Matka jednak nawet o tym nie chciał słuchać. Po kilku rozmowach zaczęła zakrywać uszy i śpiewać. Owszem zgodziła się udać razem z nią na kolejny jarmark, ale służba na zamku nigdy. Twardo kręciła głową i powtarzała, że trzeba znaleźć coś innego. Wspominała o swoim bracie, zostawionym daleko, daleko stąd. Miał on mieszkać w jakimś dużym mieście po tej stronie, po której wschodzi słońce. Na takie rozwiązanie jednak nie chciała zgodzić się



dziewczyna. Płakała i zaklinała, że nie chce opuścić Marianny na zawsze, a przecież to by tak się skończyło. I tak nie mogąc się dogadać, odwlekały podjęcie decyzji w nieskończoność. Któręś z ostatnich czerwcowych dni, kiedy Marianna zajęta była przyrządzaniem maści na oparzenia, a Odina pracownice zszywała zajęcze skórki, pies rzucił się z ujadaniem do płotu. Chwilę później z głębi lasu wyjechała gromada konnych. Kobieta przypomniała sobie majowy poranek i kąpiel tych młodzieńców. Z gwarem i śmiechem zatrzymali się przed zagrodą.

– Hej, kobieto, dajcie nam wody – zawołał jeden z nich.

Marianna popatrzyła uważnie,

przywołała do siebie całkowicie zaskoczoną córkę i wepchnęła ją do domu. Potem wyniosła dzban i gliniany kubek. Podała najbliższemu.

– A jak cię zwa? – zapytał ten wesoło.

– Marianna, panie – odpowiedziała i stanęła w niewielkiej odległości, obserwując przybyszów spod opuszczonej głowy. Ten ubrany w niebieską opończę, postawny i dumny to musiał być pan, resztę musieli stanowić jego najbliżsi towarzysze. To właśnie jeden z nich zadawał jej kolejne pytania:

– A gdzie twój mąż?

– Nie mam męża.

– Ale macie córkę – zaśmiał się rubasznie i popatrzył w stronę chaty. Marianna pobiegła spojrzeniem za jego wzrokiem.



Z uchylonych drzwi nieśmiało wyglądała Odina. W Mariannie zagotowała się krew. Rzuciła spojrzenie na pozostałych jeźdźców. Oni też patrzyli na dziewczynę. Naraz pan się odezwał:

– Podejdź tu, dziewczyno – i skinął w jej kierunku dłonią.

Odina nie ruszyła się z miejsca. Wtedy Thomas zwrócił się do Marianny:

– Każ córce podejść!

Kobieta niechętnie przywołała ją. Gdy dziewczyna podeszła, pan zapytał:

– A nie chciałabyś pójść na służbę do zamku?

– Panie, my jesteśmy wolne, nie składałam ci przysięgi i nie podlegamy twojej władzy

– spokojnie i zdumiewająco dobitnie odpowiedziała za córkę

Marianna. – Jesteśmy gośćmi na twojej ziemi, nie robimy nic złego, i nikt się na nas nie skarży.

Mężczyźni roześmieli się rozbawieni jej słowami, tylko pan nie zaczął się śmiać.

– Nie ciebie pytam, ale twoją córkę – odparł gniewnie – powiedz mi, czy chciałabyś służyć na moim dworze?

– Milcz Odina, nie odzywaj się – ostro rzuciła Marianna, ale dziewczyna z rozpłomienionymi oczami, nie zważając zupełnie na matkę, skwapliwie przytaknęła.

– W takim razie czekamy na ciebie do końca tygodnia. Jeśli ten czas minie, a ty się nie pojawisz, przybędą po ciebie moi wojowie. – Po tych słowach, gestem dłoni nakazał dalszą jazdę. Z kurzem wysuszonej ziemi pomknęli w stronę wsi.



– Coś ty narobiła?! Coś ty zrobiła – Marianna złapała się za głowę i opadła na kolana – coś ty najlepszego zrobiła? Coś ty zrobiła?

Dziewczyna przypadła do niej i płacząc zaczęła całować ją po rękach.

– Przebacz, matko. Musiałam. Musiałam! Może tam na mnie czeka lepszy los niż tutaj – ale Marianna nie słyszała zapewnień córki. Wciąż tylko kręciła głową i kiwała się na kolanach.

Odina odeszła następnego dnia. Nie chciała zostać nawet dzień dłużej. Zapakowała swoje rzeczy w węzełek, wzięła krosienka pod pachę i powędrowała do zamku. Po szczęście. Marianna odprowadziła ją do brodu. Przytuliła mocno i nie

chciała wypuścić. Kilka ostatnich rad wyszeptała do ucha córki tym szeleszczącym językiem, który Odina niespecjalnie lubiła.

– Jeżeli... będzie ci źle, wracaj!

Odina ucałowała matkę na pożegnanie i obiecała być posłuszna. Była gotowa obiecać wszystko. Potem szybko przeprawiła się przez rzekę. Na drugim brzegu odwróciła się jeszcze i pomachała matce. Kiedy postać córki zniknęła w lesie Marianna odwróciła się i poszła do chaty. Tutaj rzuciła się na posłanie i zaniósła płaczem. Ściemniło i nadeszła noc. Zasnęła wyczerpana i utrudzona.

Następnego dnia zabrała się za codzienne obowiązki. Pech chciał, że natknęła się na kolorowy woreczek, który dopiero



*niebieska
sukienka
do walizki*

co skończyła Odina. Usiadła i znów się rozplakała. W takim stanie zastał ją Oswald, który przybiegł, aby poszła zmienić opatrunek ojcu. Kobieta nie była w stanie się ruszyć. Powiedziała chłopakowi, że za jakiś czas przyjdzie. Chłopak wyszedł. Za płotem czekała na niego Lotta. Wziął ją za rękę i odeszli do wsi. Marianna rzeczywiście zebrała się w sobie, podniosła i przemyła twarz. Postawiła kaszę z boku paleniska, a następnie zabrała swoją torbę i podążyła do Knuta, ojca Oswalda. Minął kolejny dzień, potem następny. I następny. Chata wydawała się Mariannie zbyt duża jak dla niej samej. Za cicha i za pusta.

Wykonywała swoje codzienne czynności, zbierała i suszyła zioła. Robiła maści i nalewki. A jednak wciąż się oglądała, czy aby córka nie pojawia się na drodze.

Wieczorem siadała na małym zydłu koło paleniska i głaskała psa. Chata stała się bowiem także i jego mieszkaniem. Wpatrując się w ogień, przypominała sobie Helgę i jej samotność. I to jak bardzo się cieszyła z jej przybycia. I to, jak urodziła Odinę, wśród obcych jej ludzi. Jak nie znała ich języka. I jak się cieszyła z pierwszych nieporadnych kroków swojego maleństwa. Jej zabawy. Jej śmiechu.

KBC

Zagubienie

Paweł Radzko



Można się zgubić na wiele sposobów. Można na przykład zabłądzić i stracić orientację w terenie, ale od tego mamy papierowe mapki z kartograficzną siatką. Można stracić rachubę czasu, ale jak powiedział Maurice z Przystanku Alaska: „Zegar daje nam mapę. Wystarczy spojrzeć na niego o dowolnej porze i od razu wiemy, gdzie jesteśmy”. Zegar rozwiązuje więc obydwa powyższe problemy.

Tak czy inaczej, mnie zawsze frapowało inne zagubienie, zdecydowanie zbyt często przytrafiające się – jestem przekonany, że nie tylko mnie – w związkach i relacjach. Polega ono najczęściej na niezrozumieniu ludzi lub na byciu niezrozumianym. Różne są tego przyczyny, a zaczynają się pewnie od ludzi, których po prostu zrozumieć się nie da! Poza tym, niektórzy wskazują na czasy, w których przyszło nam żyć. Mają trochę racji; w końcu przy tak wielu sposobach komunikacji tak rzadko zdarza nam się rozmawiać, ale chyba zawsze występowały jakieś inne

przyczyny braku chęci porozumienia. Są jeszcze cechy charakteru takie jak nieśmiałość czy zaborczość, które przeszkadzają chociażby w nawiązywaniu nowych znajomości. Nie można pominąć różnic pomiędzy ludźmi, których czasem, przez własne słabości, nie są w stanie przekroczyć, czyli np. stereotypy czy uprzedzenia. Wszystko to może i ma sens, ale pytaniem przewodnim pozostaje „jak te przeszkody przezwyciężyć?”. Cóż, trzeba znaleźć mapę. Osobiście inspirację czerpię z natury. Siedząc na łące i rozmyślając nad sensem Życia, usłyszałem granie konika polnego. Potem kolejnego i jeszcze jednego, tak jak gdyby próbowały się odnaleźć na tej wielkiej łące.

Wniosek? Bardzo prosty – naszą mapą powinni być inni ludzie. Oczywiście, są głośniejsi i często bardziej irytujący niż koniki polne, ale nie bójmy się rozmawiać, nie bójmy się kontaktu wzrokowego, nie bójmy się przytulać – to wszystko pomaga nam się wzajemnie rozumieć.

PR

Kierunek EURO

Katarzyna Drzazgowska

Nowe stadiony, drogi, niedokończone autostrady i wiele innych, udanych bardziej bądź mniej inwestycji, które niewątpliwie odmieniły obraz naszego kraju. To właśnie Euro 2012 – okazja, aby Polska, jako nowoczesne

europäische państwo, ukazała się
w pełnej krasie na mapie Europy
XXI wieku. „Piłkoszał” to nie tylko
pusty slogan. Na ulicach trudno nie
zauważyć biało-czerwonych koszulek,
szalików, czapek czy oflagowanych
samochodów. To fenomen, że nawet



osoby, które z piłką nożną są na bakier, w czerwcu 2012 przemieniają się w specjalistów od karnych, różnych i spalonych. Jednak mistrzostwa Europy to nie tylko sportowe emocje, to wielkie wyzwanie organizacyjne dla Polski i Ukrainy, i sprawdzian dojrzałości społeczeństw. Sprawdzian, który z pewnością udało się zdać. Raczej nie celując, ale z wynikiem pozytywnym.

Na mapie polski zajaśniały: Gdańsk, Poznań, Warszawa i Wrocław, czyli miasta- gospodarze Euro 2012. To stolice sportu, w których pełnią życia tętniły strefy kibica. Na planie Warszawy natomiast pojawił się nowy, spektakularny punkt – Stadion Narodowy. Zastąpił on Stadion Dziesięciolecia zwany Jarmarkiem Europy. Mimo wielu trudności związanych z budową i otwarciem stadionu, jak choćby kwestia schodów czy przeciekającego dachu, na jego murawie rozegrano pięć meczy Euro 2012, a obiekt spełnił pokładane w nim oczekiwania. Jedyne, co pozostawiało wiele do życzenia to murawa. Święta trawa bowiem nie wytrzymała zmagania i treningów piłkarzy. Liczne dziury czy brązowawy odcień trawy spędzały sen z powiek działaczom, zawodnikom i greenkeeperom. Zaczęto szukać winnych za zły stan murawy. W jednym z artykułów padło oskarżenie, że to

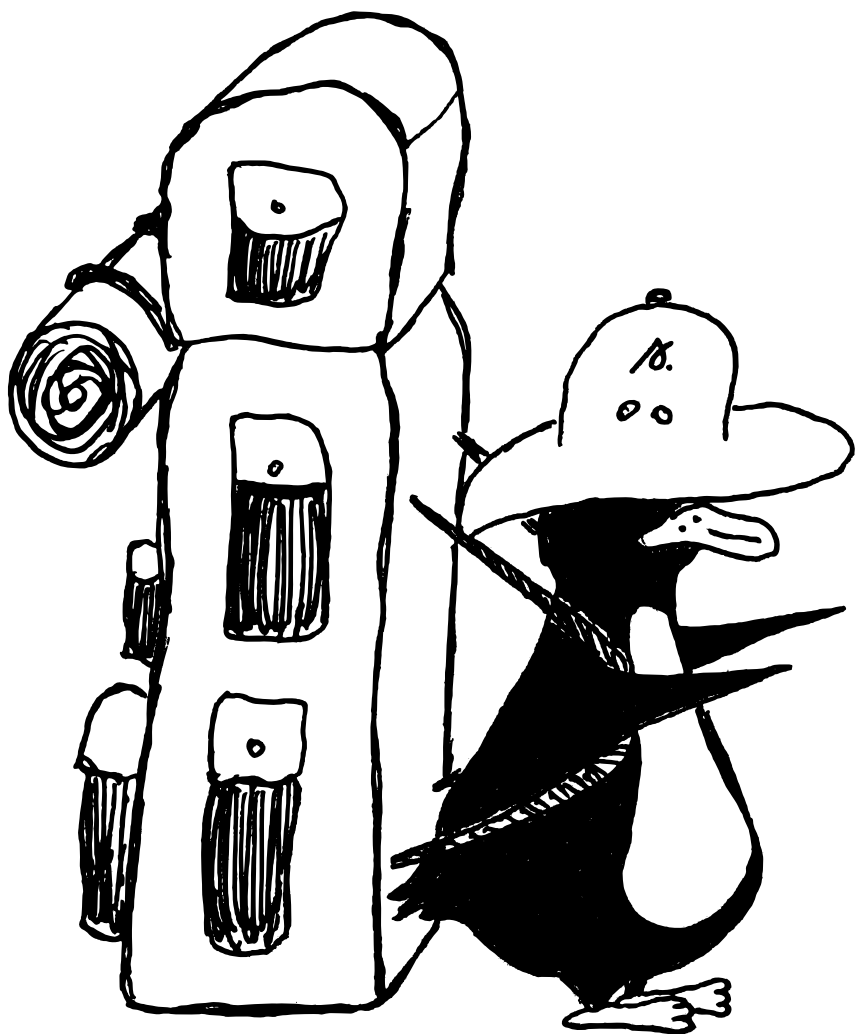
tancerze w czasie ceremonii otwarcia mistrzostw zdewastowali murawę. Jest to jednak mało prawdopodobne wytłumaczenie, gdyż występowali oni na macie rozłożonej na murawie, a ich stopy ani na chwilę nie miały styczności z trawą. Wydawać by się mogło, że najbardziej oczywiste rozwiązanie dylematu, kto zniszczył trawę nasuwa się samo. Piłkarze są winni tej zbrodni, gdyż tylko oni w butach biegali po boisku. Co więcej, robili wślizgi, skakali, bronili, faulowali. Przy tych i innych czynnościach murawa cierpiała niejednokrotnie i to naturalne, że najcenniejszy dywan stolicy został nadwątlony tu i ówdzie, i nie ma już przepisowych 2,7 cm do 3,5 cm wysokości. Mam nieodparte wrażenie, że dla niektórych osób trawa jest ważniejsza niż piłkarze czy mecze, a chyba powinno być na odwrót. To przecież tylko trawnik i podchodzenie do niego jak do świętej relikwii, personifikowanie i gloryfikowanie to objawy świadczące o problemach osób, które wypowiadają opinie, że „trawa jest chora i musi odpocząć”. Być może diagnoza medyczna i odpoczynek przydałyby się autorom takich stwierdzeń. Emocje związane z trawą, całe szczęście, nie przesłoniły kibicom piłkarskiego święta, jakim niewątpliwie były polsko-ukraińskie Mistrzostwa Europy. Chociaż reprezentacje krajów gospodarzy

odpadły w fazie grupowej, to społeczne korzyści dla obydwu państw sięgają znacznie dalej. Kibice z całej Europy przekonali się na własne oczy, że Polska i Ukraina to kraje cywilizowane, że niedźwiedzie i dziki nie chadzają po ulicach naszych miast. Niektórzy również zauważyli z niekrytym zdziwieniem, że Poland i Holland to dwa różne kraje. Okazało się także, że można się u nas dogadać po angielsku, a Niemcy przyjeżdżając do Polski, przekonali się, że ich samochody wcale u nas na nich nie czekają. Euro z socjologicznego punktu widzenia, przyniosło naszemu krajowi znacznie więcej niż pod względem sportowym. Oprócz tego, że tysiące obcokrajowców wróć do swoich rodzinnych miast, opowiadając o gościnności i przyjaznym nastawieniu Polaków, jest to szansa na obalenie wielu stereotypów na nasz temat. Nie obyło się, niestety, bez incydentów, głównie z udziałem Rosjan i Polaków, ale były to zdarzenia na niewielką skalę, które zostały rozdmuchane przez media i niepotrzebnie wyolbrzymione. Oczywiście, że mamy prawo do informacji o negatywnych aspektach i niebezpiecznych zjawiskach, szkoda tylko, że media w pogoni za sensacją i krzykliwymi tytułami gubią wiele pozytywnych zachowań oraz przyjacielskich gestów.

Kwestia tego, jak Euro wpłynie na nasz kraj w długoterminowej perspektywie,

jest nadal otwarta. Za kilka miesięcy będzie można na spokojnie, z zimną głową i kalkulatorem, oszacować zyski i straty. Jednak to, czego nie można oszacować i policzyć, to radosna atmosfera, wielkie emocje oraz bezcenne wspomnienia. Czas pokaże, ile przyjdzie nam czekać na kolejne wydarzenie tej rangi w naszym kraju.

KD



PODRÓŻ ŻYCIA

Joanna Fedorczyk Agata Mianowska

Dwie młode dziewczyny stoją przed regałem z mapami i atlasami w księgarni.

AGATA

To gdzie jedziemy na wakacje?

ASIA

Hmm... nie wiem nic, nie wiem, gdzie chcę jechać, z kim, kiedy, kompletny mętlik.

AGATA

Ha, skąd ja to znam. Pewnie znowu będę siedzieć w domu... A przecież co roku obiecujemy sobie podróż życia...

ASIA

I co roku nic z tego nie wychodzi, nie byłby to dobry materiał na film;)

AGATA

No, chyba że miałybyśmy ambicje na najnudniejszy film świata, ewentualnie bardzo, bardzo ambitne kino konceptualne.

ASIA

Może tym razem podziękuję... W sumie podróż, mapa to dobry temat na film, masz jakiś ulubiony z tej kategorii?

AGATA

Jeśli chodzi o filmy drogi, to Thelma i Louise. Kocham duet Davies-Sarandon. Poza tym uwielbiam silne kobiety w kinie.

ASIA

Tutaj się z Tobą w 100% zgadzam. Z kolei moim pierwszym skojarzeniem z filmem-podróżą jest *Indiana Jones* i charakterystyczna podróż samolotem po mapie.

AGATA

Indiana Jones to typowe kino przygodowe, dobra rozrywka, ale nie zapada mi zbyt długo w pamięci. Poza tym coraz bardziej doceniam filmy, które łamią archetypy

– odważnego wojownika, pięknej kobiety ratowanej z opresji itd., brakuje mi w kinie następczyń Thelmy i Louise. Kobiet silnych, niezależnych, nie tylko tła dla facetów.

ASIA

Indiany mi nie atakuj, moja droga. Będę monotematyczna, ale się zgodzę, ja lubię skomplikowane kobiety, z przeszłością, których historie, osobowości zostają w pamięci, czasem nawet pobudzają do działania. Obecnie, jakby w kinie nie było czasu na kreowanie trudnych postaci.

AGATA

W ogóle coraz częściej w kinie nie ma na nic czasu. O poszczególnych bohaterach wiesz tyle, ile oni sami powiedzą, niczego nie dowiadujesz się z gestów, gry. Wszystko przegadane, według tego samego schematu. Lubię, kiedy w filmie postaci są wyraziste, kiedy się zmieniają, jak Thelma i Louise.

ASIA

Siłą tego filmu jest prostota skonstrastowana z przeobrażeniami bohaterek, to jakby obserwacja rozwoju kobiety, jak różne twarze potrafi mieć, jak różne maski przybrać.

AGATA

Poza tym historia, która jest silnie zakorzeniona w amerykańskich realiach i kulturze, ma również uniwersalny wymiar. Opowiada o odwadze, poszukiwaniu wolności, o wyborach. Dobrze zrobione kino drogi, które pokazuje przemianę bohaterów w nienachlany sposób, zachowując przy tym dużą dawkę realizmu. W końcu zarówno Louise jak i Thelma są bohaterkami z krwi i kości, popełniającymi błędy, jak każdy człowiek.

ASIA

Twórcy filmu stawiają pytanie, które tkwi chyba w każdym z nas: może zaszczyć, spróbować czegoś nowego? Co, tak naprawdę, nas powstrzymuje?

AGATA

No, nie tak do końca, przecież są konsekwencje. Wydają mi się, że bohaterki filmu przedstawiają dosyć ekstremalną wizję. To raczej obraz tego, co może się stać, kiedy dusimy frustracje, boimy się. Wtedy, kiedy człowiek się uwalnia nie ma już powrotu... W każdym razie uwielbiam filmy, które znajdują się w szeroko pojętym mainstreamie, jak Thelma... i zmuszają do myślenia; są w jakiś sposób skonstruowane, a nie tylko naszkicowane. Strasznie dawno nie widziałam takiego porządnie zrobionego filmu, który by nie nudził, a jednocześnie nie był przeintelektualizowany, w którym bohaterowie nie byłiby płascy, a zakończenie przewidywalne.

ASIA

A ja widziałam *Monster* ze świetną kreacją Charlize Theron. Film trudny, wręcz przygnębiający, ale pokazujący brutalność życia, zagubienie bohaterki, złe wybory, brak szczęścia, jak kto woli. Naturalizm uderza z każdej strony: historii, zdjęć. Główna postać pokazuje walkę z rzeczywistością, jest na straconej pozycji. Według mnie, świetnie odzwierciedla nadzieję, która tli się w każdym człowieku. Koniec filmu wbił mnie w fotel i długo nie mogłam z niego wstać.

AGATA

Charlize Theron? A ona nie jest po prostu bardzo ładną kobietą? Poradziła sobie z bardziej wymagającą rolą? Nie widziałam tego filmu, ale jak słyszę o takiej hollywoodzkiej gwiazdzie i czymś bardziej skomplikowanym niż komedia romantyczna, to mam złe przeczucia.

ASIA

Myślę, że jej tutaj nie poznasz, przytyła i przeszła taką transformację przez charakteryzację, że widać tylko zniszczoną życiem kobietę. Theron dała tutaj popis świetnej gry aktorskiej. Ten film nie ma zupełnie nic wspólnego z komedią romantyczną, ale też ze schematem hollywoodzkiego kina. Wywołuje takie emocje, że po jego skończeniu stawiamy sobie masę pytań. Historia prostytutki, która zabija swoich klientów, od pewnego momentu, i która stawia siebie jako ofiarę. I przez cały film nie umiemy określić, kto jest ofiarą, a kto sadystą. Ten film jest niezwykły, bo zrywa z kanonami, a ukazuje życie, ciężkie, nieudane, stracone...

AGATA

Chyba zaczynasz mnie przekonywać. Podchodziłam do tego filmu nieufnie, ale uwielbiam niejednoznaczne postacie w kinie, więc chyba w końcu go obejrzę. W życiu trudno o jasne sytuacje, filmy ostatnio często odchodzą od tego i kreują papierowe światy i bohaterów. To dobrze, że nie wszystko staje się takie i niektórzy twórcy zostawiają widzowi pole do przemyśleń. Przynajmniej nie traktują wtedy widzów, jak kompletnych idiotów.

ASIA

Zrobiło się poważnie...może wróćmy do tematu wakacji? Gdzie w końcu jedziemy!?

Dwie dziewczyny stoją kolejną godzinę przed półką z mapami i nic nie zapowiada, żeby szybko miały od niej odejść. ■

Nasze stopy to mapa naszego organizmu

ANNA FILIPEK opowiada o **REFLEKSOTERAPII** – ratunku, pasji,
a w konsekwencji sposobie na życie zawodowe...

Mam zdjąć skarpetki?



Tak, tam jest łazienka i tam znajdzie Pani jednorazowe kapcie. Zanim Pani zacznie zadawać mi pytania, ja zapytam o przebyte choroby, operacje i...

Pani Aniu, to jaką pozycję mam przyjąć, na boku, na plecach?

Refleksoterapię można wykonywać na siedząco, leżąc na brzuchu i tak jak ja preferuję czyli na plecach. Proszę się wygodnie położyć. Kocyk przyda się choć jest ciepło. Podczas zabiegu może Pani poczuć chłód.

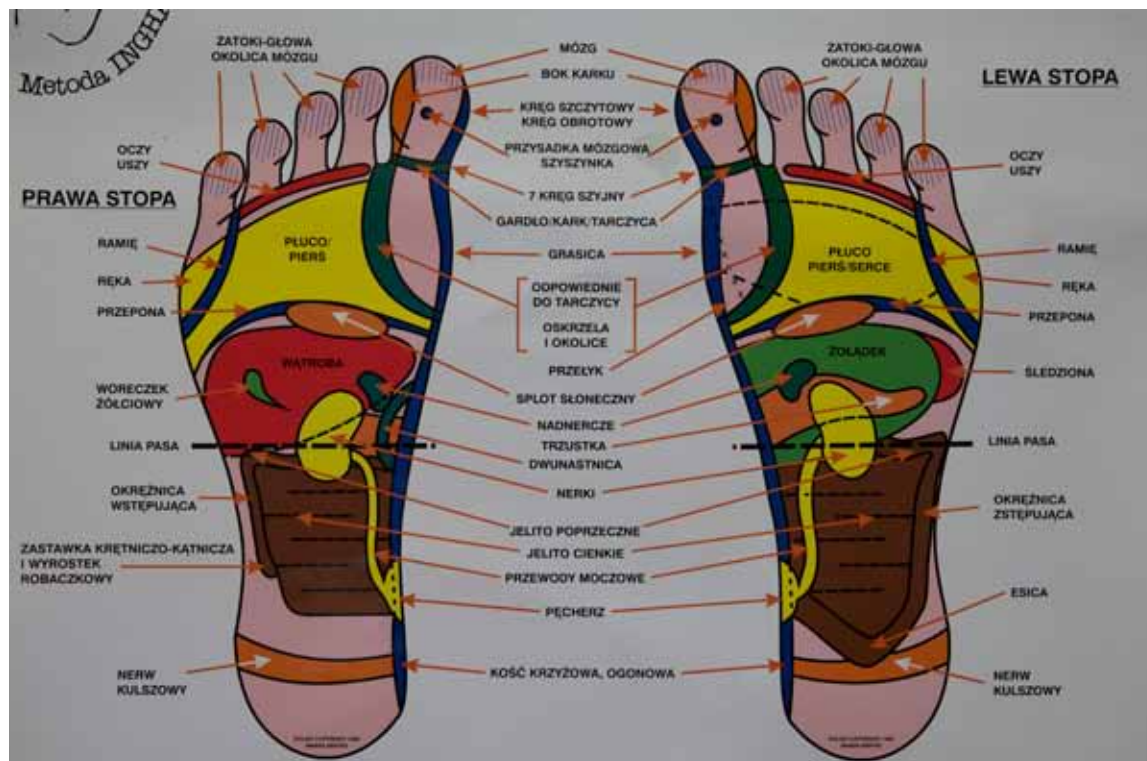


To przypadek czy świadomy wybór taki zawód?

Proszę się rozluźnić. Refleksoterapią zawodowo zajmuję się od pięciu lat, wcześniej sama korzystałam z zabiegu refleksoterapii na twarz, ponieważ miałam kłopoty z oczami. Terapia za pomocą ucisku wpływała na polepszenie mojego wzroku. Trochę jak magiczny ucisk. Fascynacja, poprawa własnego zdrowia. Pojawiły się pytania jak to działa, dlaczego? I tak wciągałam się głębiej i głębiej w temat z każdym dniem, aż postanowiłam, że chce się tego nauczyć profesjonalnie i podjęłam naukę.

Refleksologia jest to nauka o przebiegach kanałów energetycznych o meridianach. Refleksoterapia to zabieg polegający na masażu stóp lub twarzy.

Stopy to cały mikrokosmos człowieka. Nasze stopy to mapa naszego organizmu. Wszystkie układy: pokarmowy, oddechowy, dokrewny, nerwowy itd. Poprzez



stymulację punktów na stopach, poprzez masowanie, uciskanie tzw. refleksów, stref odruchowych wpływamy na dane narządy. I tak na przykład, masując duży palec w punkcie przysadki wpływamy na poziom hormonów.

Czy to boli?



Przysadka jest wyjątkowo bolesnym miejscem, ale to punkt bardzo ważny. Nie uciskamy wybiórczo. Przechodzimy punkt po punkcie. Chińska medycyna odwołuje się do energii, którą odblokowujemy dzięki zabiegowi. Qi – czyli energia – przepływa kanałami przez całe ciało, docierając do organów wewnętrznych i wraz z krwią dostarczając organizmowi elementy odżywcze podtrzymujące jego funkcje. Zdrowi jesteśmy wówczas, gdy między Qi a krwią – czyli podstawami życia – panuje całkowita równowaga, a ich przepływ przebiega bez zakłóceń. Podczas masażu stref odruchowych, połączone z nimi kanałami energetycznymi (meridianami) narządy ciała, zostają pobudzone i w odpowiedzi na bodziec wyzwalają łańcuch reakcji biochemicznych w organizmie. Są to mechanizmy samoregulacji, samoregeneracji i samoleczenia. Masaż pobudza krążenie krwi, a w związku z tym transport tlenu i substancji odżywczych do narządów oraz usuwanie z nich toksyn, szkodliwych produktów przemiany materii. Masaż usuwa blokady energii występujące na przebiegu meridianów. Tak w skrócie.

To dziwne, ale ten ból w niektórych miejscach jest całkiem przyjemny. Tak rozchodzi się coś po całym ciele. Wcale nie robi mi się zimno tylko gorąco.

Po refleksoterapii mogą wystąpić objawy detoksykacji czyli mogą być dreszcze, częste oddawanie moczu, lekki ból głowy. Oczywiście to nie jest reguła, bo większość osób tego nie ma. Zazwyczaj po drugim zabiegu nie doznajemy nieprzyjemnych odczuć. O, proszę, a Pani ziewa. Po zabiegu ważne jest, żeby dużo pić. Najlepiej ciepłą gotowaną wodę np. z cytryną, albo herbatę ziołową. Pijemy po to, aby ułatwić proces oczyszczania. A pani paląca?

Udało mi się rzucić dwa lata temu?



To polecam przynajmniej raz w tygodniu oczyścić nerki, tak by zostawić papierosy na całe życie i nie popaść w nałóg. W dużym stopniu wszelkie uzależnienia są związane z złą pracą nerek. Miałam nawet takie przypadki, że po refleksologii stóp osoby palące zaczęły odrzucać papierosy, paliły mniej, bo przestawały im smakować lub całkowicie nie miały ochoty na papierosy. A przy korzystaniu z refleksoterapii oczyszczamy nerki i organizm może z automatu odrzucić nikotynę. Wykonując zabieg pobudzamy organizm i to on sam wybiera co regeneruje w pierwszej kolejności, co jest niezbędne do prawidłowego funkcjonowania narządów. Nie robi się masażu wybiórczo, np. tylko na wątrobę, robi się zabieg biorąc cały organizm pod uwagę. Masuje się wszystkie punkty, jedynie można uciskać nieco mocniej w miejscu chorym.

Aaaaa. A to za co odpowiada?



Wzdłuż stopy u Pani podejrzewam kręgosłup, komputer, brak ruchu. Refleksoterapia powinna być stosowana profilaktycznie, tak żeby nie dopuścić do choroby, ale jeżeli choroba już jest, to masując odpowiednie punkty wspomagamy cofnięcie procesu. Wtedy odbywamy taki zabieg przynajmniej dwa razy w tygodniu. Minimum 10 zabiegów. Profilaktycznie możemy robić zabieg raz na dwa tygodnie, ale też nie zaszkodzi raz w tygodniu. Ważne jest, żeby organizm doprowadzić do równowagi i odblokować zablokowane miejsca, a tym samym umożliwić przepływ energii. Np. ktoś jest alergikiem i choruje od dziecka, to jednorazowo wykonany zabieg niewiele pomoże, ale kiedy będzie stosowany cyklicznie i zastosujemy również dietę, to możemy wyjść z alergii. Jak myśli Pani o

sobie poważnie, szanuje siebie, czy jest pani wierząca czy nie, to raz w tygodniu dla zdrowia powinniśmy pościć. Chleb z wodą, albo na owocach i warzywach. Mogą być świeże warzywne soki. Oczywiście bez cukru.

A jak zaczynamy serie zabiegów, to od trzech w tygodniu, a potem zmniejszamy. Oczywiście wszystko zależy od stanu zdrowia pacjenta. Profilaktycznie zazwyczaj pacjenci wykonują sobie taką serię dziesięciu zabiegów na wiosnę lub jesienią, potem przychodzą raz dwa razy w miesiącu, traktując to już bardziej relaksacyjnie.

Wiek ma znaczenie, czy to metoda dla wszystkich?

Refleksoterapię można zaczynać od pierwszego krzyku czyli od niemowlęcia. Ta metoda ma długą historię i jest dla każdego. U starszych osób i dzieci masuje się delikatniej i krócej do 30 minut, a u maluszków to jest czasami 5-10 minut.

Przeciwwskazania związane są z chorobami nowotworowymi, żylakami, zakrzepicą – wymagana jest konsultacja z lekarzem. Niewskazana jest przy ranach otwartych na stopach, grzybicy, ciąży zagrożonej.

Pierwsze ślady prowadzą nas do Egiptu, gdzie na ścianach w grobowcu Ankhmabora znanym jako Grobowiec Lekarski odkryto malowidła z ok. 2300 roku p.n.e., wskazujące na zabiegi o charakterze refleksoterapii. Prekursorem dzisiejszej refleksologii jest Amerykanka – Eunice Ingham (1879-1974), która poświęciła całe swoje życie, zgłębiając tajemnice terapii stóp. Swoje doświadczenia opisała w dwu książkach: „Historie, które mogą stopy opowiedzieć” (1938) oraz wiele lat później „Historie, które stopy opowiedziały” (1963). Jej studentka, Doreen Bayly, założyła następnie w Wielkiej Brytanii szkołę refleksologii i wydała książkę „Reflexology Today” (1978). W Niemczech od 1975 roku Hanne Marguardi prowadzi swoją szkołę refleksologii. W roku 1983 refleksologia trafia do RPA za przyczyną Inge Dougans, emigrantki z Danii, która w 1981 roku uzyskuje kwalifikacje i dyplom refleksologa w Kopenhadze. W końcu lat 90-tych rozszerza się światowa ekspansja refleksologii jako metody terapeutycznej i przedmiotu studiów. W konsekwencji refleksologia zostaje zaakceptowana jako metoda lecznicza.

Obecnie w wielu krajach terapia ta jest przyjmowana do praktycznego stosowania z pełnym poparciem świata medycznego. Refleksoterapeutę zalicza się do grona masażyści – w Polsce nie istnieje (jeszcze!) jako oddzielny zawód.

Środek stopy, jakie to miłe!

Dotleniamy ciało, to miejsce odpowiedzialne za przeponę. A teraz poczuje Pani lenistwo wszechogarniające. Podobne działanie relaksujące, uspokajające ma refleksologia wykonywana na twarz. Refleksoterapia twarzy wpływa na koloryt twarzy, zmniejszamy przy takim zabiegu opuchliznę twarzy i jednocześnie wykonujemy lifting twarzy. Zmienia się owal twarzy. Dotleniamy komórki dzięki czemu mamy ładniejszą skórę.

Oj, oj przy pięcie i kostce boli okrutnie.



Refleksologia boli, jeżeli dane strefy odruchowe są pablokowane. Jeśli mamy problemy z wątrobą, nerkami, trzustką to punkty odpowiedzialne za te narządy przy uciskaniu bolą. Np. jak mamy problemy z nerką, mamy jakieś kamyki, piasek to uciskając nie obędzie się bez bólu, ale jest to ból do wytrzymania, zwłaszcza że nacisk na chore miejsce zależy od masującego, który zna pacjenta i wie jaki ma poziom wytrzymałości na ból. Podczas kolejnych zabiegów ból jest coraz lżejszy i może całkowicie ustąpić. Kiedy całkowicie ból ustępuje z całych stóp wówczas refleksoterapię traktujemy jako relaks i zapobiegawczo. Proszę uwierzyć, mam pacjentów, którzy w pierwszej minucie zasypiają i przez godzinę chrapią. A te bolące Panią punkty to macica. Dużo pacjentów dzięki refleksologii doczekało się potomka, nie rzadko stosowano wcześniej tylko in vitro, które nie przynosiło rezultatów. Za to okazywało się, że dieta, refleksologia i zmiana trybu może sprawić, że zachodzimy w ciążę i rodzimy naturalnie. Jestem już przyszywaną matką nie jednego malucha. Działa to zarówno na płodność kobiet, jak i mężczyzn.

Ile Pani stóp obejrzała w swojej praktyce?



Nie liczyłam, ile setek nóg widziałam, ale to prawda, że widząc stopy mogę powiedzieć z jakimi narządami osoba ma problem lub mieć go będzie. Nie jestem lekarzem, więc nie diagnozuję choroby, ale widzę, gdzie nie ma równowagi, gdzie są zaburzenia np. nerka albo trzustka.

Samemu sobie to chyba nie da rady wykonać taki masaż?

Można samemu wykonywać sobie refleksologię, tyle że jest to niewygodne. Zakładam, że wcześniej poznaliśmy mapę stóp. Bywa, że sama sobie uciskam stopę, ale to nie to. Nie jesteśmy rozluźnieni, gorszy jest przepływ impulsów, jesteśmy zgięci. Nie jest to komfortowe. Ale można.

Jak mi dobrze teraz, Pani Aniu, masaż pleców, głowy i do jutra zostaję na tym stole...

Co za dużo to niezdrowo. Masaż ciała relaksacyjny z refleksologią stóp można łączyć. Można połączyć z refleksoterapią kręgosłupa, ale stóp z twarzą nie łączymy. Dlatego, że nie można też przedawkować bodźców. Za dużą ilością impulsów możemy sobie zaszkodzić. Refleksologia twarzy rozluźnia, odstresuje, zmniejsza napięcia nerwowe, bezpośrednio wpływamy na ciało migdałowate, a wykonując zabieg na stopach bardziej wpływamy na narządy wewnętrzne.

Czy od refleksoterapii można się uzależnić? To głaskanie jest miłe.

To nie może być głaskanie, to musi być ucisk, który dochodzi do receptorów. A to na zakończenie masaż relaksujący stopy. Tak, ten ucisk może być formą uzależnienia. Większość osób twierdzi, że się uzależnia. Kojarzą to z energią, chęcią do życia. Niektórzy to traktują jak antidotum na stres. Sama czerpię ogromną satysfakcję, owszem dla mnie to też jest wysiłek, ale jak widzę uśmiechniętą twarz, jak słyszę dobre słowo. Jestem po to, by pomóc innym.

Co trzeba umieć i jakim być, żeby czerpać tyle satysfakcji z tego zawodu co Pani?

Predyspozycje? Trochę wiedzy medycznej, anatomia człowieka, podstawy psychologii, chęć pomagania, pozytywne myślenie. Są trzy stopnie nauki. Aby wykonywać zawodowo trzeba ukończyć trzy stopnie i dużo ćwiczyć w praktyce: 360 masaży rocznie to znacząco za mało, 1500 to już dobry wynik jak na początek. Praktyka w tym zawodzie jest bardzo ważna. Mnie było dużo łatwiej, bo wcześniej zajmowałam się rehabilitacją, wykonywałam masaże i miałam wiedzę na temat budowy człowieka i jego mięśni.



Kondycja jest istotna. Rehabilitant, masażysta-refleksolog to są zawody, gdzie trzeba dbać o własną kondycję i życzyć dobrze ludziom. To naprawdę daje dużą satysfakcję, jak przychodzi do mnie dziecko nadpobudliwe lub autystyczne i widzę efekty. Rodzic jest zadowolony, a dziecko zaczyna inaczej postrzegać otoczenie. Dla jednych jest to ostatnia deska ratunku dla innych... Niektórzy traktują to jako miłą szczepionkę. Przywrócenie do stanu równowagi naszych narządów.



Każda wizyta trwa dziewięćdziesiąt minut?

Pierwsza. Przy pierwszej wizycie przeprowadzam wywiad, zakładam kartę pacjenta. W niej jest wszystko: o lekach, przebytych chorobach, sposobie odżywiania, częstotliwości wypróżnienia. Prawidłowo wykonana refleksoterapia stóp trwa 45-50 minut, masaż na twarz 70 minut.

Proszę wciągnąć powietrze i... wypuszczamy. I jeszcze raz...

Refleksologię można wykonywać w różnych godzinach. Co do masażu wskazane jest wykonywanie w godzinach 9-15, wtedy organizm ma więcej sił na regenerację. Wiadomo, że nie zawsze tak można i masaże są wykonywane od rana do wieczora.



A ból głowy?

Leczenie migren przez refleksologię jak najbardziej. Refleksologia twarzy i stóp jest zarówno dla mężczyzn jak i kobiet. Wszyscy myślą, że to jest masaż relaksacyjny, jak przychodzą pierwszy raz. A to jest leczniczy masaż poprawiający odporność, immunologię. Wszyscy myślą, że to co popsuli przez lata w organizmie ulecą dwoma zabiegami, a to tak nie ma.

Dużo osób krępuje się swoich stóp. Kiedyś ludzie chodzili bez butów i samoistnie pobudzali receptory, teraz mamy buty, równe powierzchnie, często panie na obcasach, w za małych pantoflach i deformują stopy, i wpływają na narządy. Dobór obuwia jest bardzo ważny, cały dzień w szpilkach równa się chorobie. Haluksy to zaburzenie trzustki, śledziony i żołądka – słaby poziom energetyczny w tych rejonach.

Wątroba kiedy duży palec jest zadarty do przodu, drugi palec jest albo

wygięty do góry, przykurczony albo do dołu jest przykurczony. Ostrze na piątym palcu świadczy o złej energii w pęcherzu moczowym, o braku równowagi. Opuchlizna przy kostce od strony wewnętrznej świadczy o zaburzeniach w pęcherzu moczowym. I tak cały nasz układ wewnętrzny możemy odczytać krok po kroku.



A z czym przychodzą najczęściej do Pani pacjenci?

Najczęściej ludzie przychodzą z przeziębieniami, alergiami, problemami z zajściem w ciążę, w menopauzie, z torbielami, zatokami, cukrzycą – to są choroby, z którymi ludzie nie dają sobie rady. Dziękuję Pani.

To ja dziękuję za masaż i ciekawą rozmowę.

Organizm po zabiegu sam daje nam wskazówki, czy mamy iść spać czy mamy tyle sił witalnych, że przenosimy góry. Różne reakcje można zaobserwować po zabiegu refleksologii. Mogą wrócić stare choroby, bóle głowy, kolan czy kręgosłupa. Organizm wyrzuca i regeneruje chore miejsca. Dlatego proszę poleżeć jeszcze chwilkę i zapraszam na ziołową herbatę.

Rozmawiała Katarzyna Bogucka





Letnia Szkoła Fizyki

2. – 13. lipca 2012

W programie:

Warsztaty w laboratoriach – codziennie w godz. 10:00 – 12:00

Pracownia Fizyczna – codziennie w godz. 9:30 – 12:00

Wykłady – codziennie w godz. 13:15 – 15:00

Szczegóły i rejestracja: www.fuw.edu.pl/wo



WYDZIAŁ FIZYKI
UNIWERSYTET WARSZAWSKI



Projekt dofinansowany z budżetu m. st. Warszawy



fizyka.fuw.edu.pl
Fizyka – kształcenie dla gospodarki opartej na wiedzy



Fizyka wobec wyzwań XXI wieku



INNOWACYJNA GOSPODARKA
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ
ROZWOJU REGIONALNEGO



KAPITAŁ LUDZKI
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI



UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ
SPOŁECZNY



*Nie można mieć nadziei na skierowanie świata,
ku lepszym drogom, o ile się jednostek nie skieruje
ku lepszemu.*

Maria Skłodowska-Curie

*Można zapytać: „dlaczego żaba skacze?”,
ale fizyk nie umie na takie pytania
odpowiedzieć. Trzeba mu najpierw
wyjaśnić, co to jest żaba, z jakich cząsteczek
się składa, gdzie ma nerwy itd. Wtedy
sytuacja się poprawia.*

Richard Feynman

*Żaden rząd nie ma prawa decydować, co do
prawdziwości naukowych zasad, ani w żaden
sposób określać charakteru pytań, na które
szuka się odpowiedzi. Nie może rząd też oceniać
wartości estetycznej artystycznych kreacji,
ani ograniczać form literackiej i artystycznej
ekspresji. Nie powinien też ogłaszać słuszności
doktryn ekonomicznych, historycznych,
religijnych czy filozoficznych. Za to, ma
w stosunku do swych obywateli obowiązek
zapewniania wolności, aby pozwalała tym
obywatelom udzielać się w dalszych
przygodach i rozwoju rasy ludzkiej.*

Richard Feynman

*Wiedza jest początkiem wolności,
Sztuka wiedzy jest sztuką realizacji
wolności,
Przyczyną wszelkiego cierpienia jest
niewiedza,
Brak wiedzy kim jestem, kim jesteśmy,
Poznanie wiedzy odśłania tajemnicę życia,
Jest drogą do zdrowia, szczęścia
i wieczności*

Michio Kushi

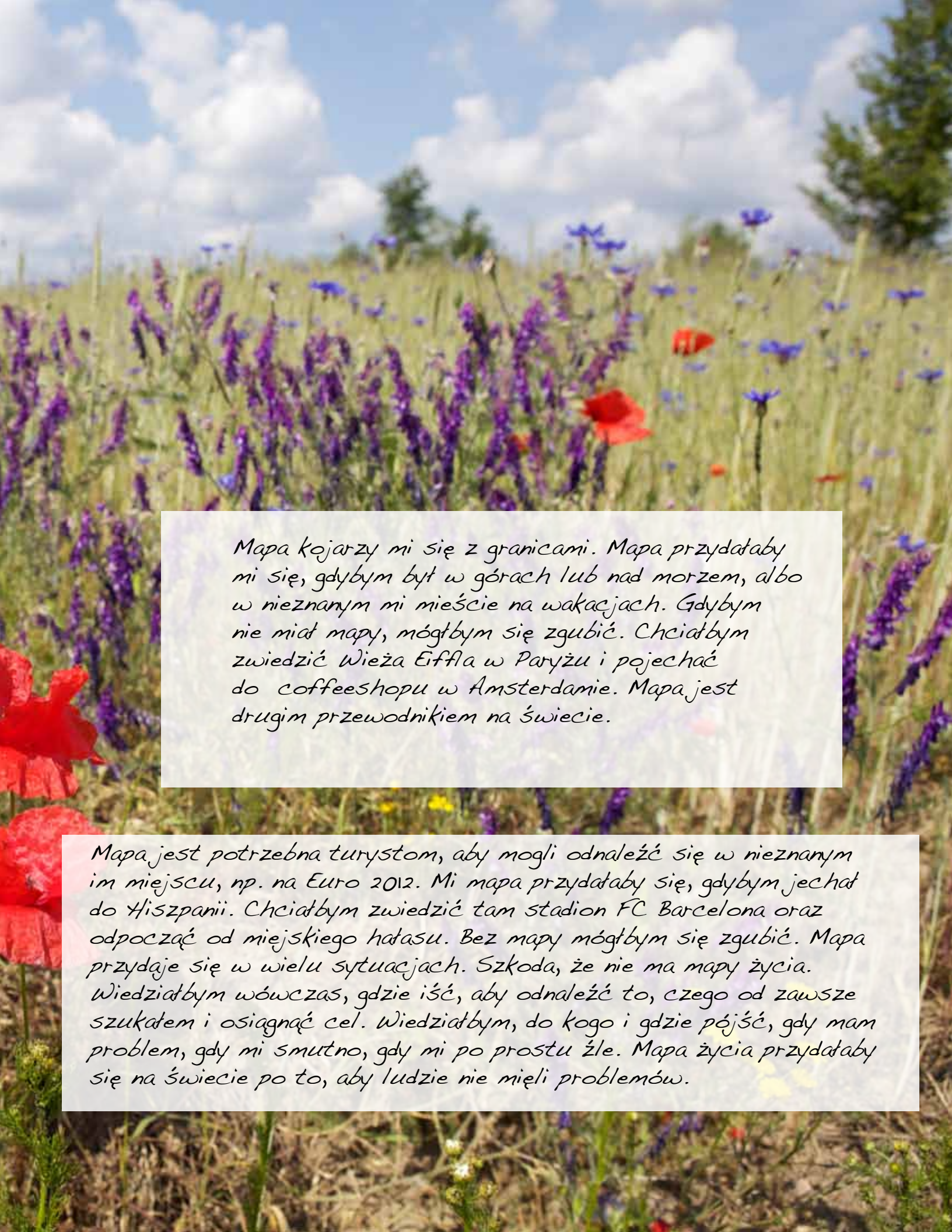
*Wolnym może być tylko ten, kto do
czegoś dąży.
A zatem wyzwolić człowieka znaczyłoby
obudzić w nim pragnienie i wskazać
drogę do studni.*

Antoine de Saint Exupery

Szkoła Podstawowa nr 167 w Warszawie

klasa VI

Mapa kojarzy mi się z rozmieszczeniem kontynentów. Na pewno przydałaby mi się w nieznanym miejscu. Wyjechałbym do Barcelony, gdzie zwiedziłbym kościół Sagrada Família. Chciałbym pojechać również do Florencji, Wenecji i Rzymu. We Florencji zwiedziłbym Palazzo Della Signoria, w Wenecji natomiast Bazylikę św. Marka. W Rzymie zwiedziłbym Panteon, Plac św. Piotra, Koloseum, Zamek św. Anioła. Wykorzystałbym mapę internetową.



Mapa kojarzy mi się z granicami. Mapa przydałaby mi się, gdybym był w górach lub nad morzem, albo w nieznanym mi mieście na wakacjach. Gdybym nie miał mapy, mógłbym się zgubić. Chciałbym zwiedzić Wieżę Eiffla w Paryżu i pojechać do coffeeshopu w Amsterdamie. Mapa jest drugim przewodnikiem na świecie.

Mapa jest potrzebna turystom, aby mogli odnaleźć się w nieznanym im miejscu, np. na Euro 2012. Mi mapa przydałaby się, gdybym jechał do Hiszpanii. Chciałbym zwiedzić tam stadion FC Barcelona oraz odpocząć od miejskiego hałasu. Bez mapy mógłbym się zgubić. Mapa przydaje się w wielu sytuacjach. Szkoda, że nie ma mapy życia. Wiedziałbym wówczas, gdzie iść, aby odnaleźć to, czego od zawsze szukałem i osiągnąć cel. Wiedziałbym, do kogo i gdzie pójść, gdy mam problem, gdy mi smutno, gdy mi po prostu źle. Mapa życia przydałaby się na świecie po to, aby ludzie nie mieli problemów.

